



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

KWIAT PAPROCI.

(Przy dźwiękach preludyum Szopena).

Cudny kwiat paproci
Na stepie szerokim
Zakwitł i w niebios
Tęsknym patrzy wzrokiem:
Zakwitł cudny, złoty
Pośród nocej ciszy—
Pełen łez, tęsknoty
Tonie w srebrnej mgie.

Gdzie wzrok jego padnie
Na niebios lazury,
Gwiazdka błyska złota
Z po-za ciemnej chmury,—
Gwiazdka się zapala,
Na niebios lazurze
I kwiatkowi zdala
Pocałunek śle.

Selim.

DZIECI W SZWECYI.

Dzieci budzą niemal ogólnie sympatyą i pociągają do siebie serca ludzkie; wszyscy też uważają to za konieczność, za pierwszorzędną obowiązkiem

każdego społeczeństwa, aby wiek ten słabości i nieudolności otoczony był opieką chroniącą od złego, a nauczającą, dobrą, dającą możność rozwijania się i kształcenia, w przyszłości zaś osiągnięcia środków dających życiu cenę wyższą. Nigdzie też, o ile sądzić mogę, nie spełniają tego obowiązku, tak rozumnie i serdecznie, jak dzieje się to w Szwecyi. Kładą nacisk na wyraz *serdecznie*, gdyż każda instytucja tutejsza wychowawcza dziwnie ojcowski ma charakter. Objawia się to mianowicie przez pamięć szkoły o wszystkich potrzebach dzieciennych i ofiarność ogółu, aby tym potrzebom można zadość uczynić. Stosunek zwierzchności do dziatwy niezmiernie też jest miłym, ale, uważając to więcej za przymiot indywidualny, wspominam o rzeczy tej tylko nawiasem.

Z tego systemu ogólnej opieki jakoby ojcowskiej korzystają pośrednio wszystkie dzieci uczęszczające do szkół; ale bezpośrednio oddziaływa to przede wszystkim na dzieci klas uboższych, i niemi się też głównie zajmować będziemy.

Dzieci klas majątniejszych i zamożnych są w rodzinie przedmiotem najczulszych starań. Dzieje się to mniej więcej wszędzie, lecz nie tak ogólnie, jak w Szwecyi. Tutaj matka rodziny ze względu na obowiązki swe macierzyńskie usuwa się prawie od życia towarzyskiego, sama dzieci dogląda, póki małe, sama je do szkoły przygotowuje, sama z nimi lekcye odrabia. Bony są tu rzadko kiedy potrzebne, nie rozumiano nawet dobrze o co pytam, gdy się chciała dowiedzieć: czy jest jaki zakład kształcący specjalnie bony i piastunki? Przecież jest od tego matka... odpowiada mi, — a gdy matki nie stanie, znajdzie się zawsze w rodzinie osoba niezamężna, która się poświęci wychowaniu sierot. Z tegosamego powodu i ogródki freblowskie są tu nieznanne; od 7-go roku życia, a często nawet wcześniej, bo w 6-tym roku życia, dzieci zaczynają chodzić do szkół, które zastosowują program swój do wieku i sił

młodzieńskich uczniów. Wyższe tylko sfery, posiadające wszędzie te same cechy, sprowadzają bony z Francyi, Szwajcaryi i Anglii.

Dlatego klasy uboższej, wśród której matki zmuszone są dla pracy na zarobek z domu się wydalac, dzieci posyłane są do tak zwanych żłobków, gdzie dzień cały spędzają pod opieką dozoreczni, i jak wszędzie, dostają pożywną i ciepłą strawę. Urządzenie tych żłobków nie zadawalnia jednak Szwedki, gdyż kobieta rozciąga tu głównie opiekę nad dziatwą, usiłując w każdym kierunku dojść do możliwej doskonałości. Myśli się więc o ulepszeniu żłobków, a zarazem o wytworzeniu zastępu bon z pomiędzy dziewcząt odpowiednio wykształconych i władających jednym z języków obcych, tak dobrze, aby mogły współzawodniczyć z bonami cudzoziemkami.

Gdy nadejdzie pora oddania dziecka do szkół, rada szkolna, do której składu wchodzi zawsze lekarz, decyduje o rozwinięciu umysłowym i fizycznym małego kandydata, i wskazuje do jakiej klasy ma wstąpić, jakich ćwiczeń gymnastycznych używać; czy może się uczyć śpiewu, od 2-giej bowiem klasy do ostatniej do wszystkich szkół wprowadzoną jest ta nauka; czy wreszcie ze względu na zdrowie nie wypada mu zmniejszyć ilości przedmiotów szkolnych, i t. d.?

Z kolei następuje drugi egzamin: zbadanie środków materyalnych ucznia, gdyż w miarę potrzeb szkoła dostarcza obuwi, odzieży, oraz książek i wszelkich przyborów naukowych. Jest to zapewne wiadomem ogółowi czytelników, że w Szwecyi szkoły ludowe i wszystkie państwowe, oraz miejskie są bezpłatne; nauka obowiązkowa trwa przez lat 7 w szkołach ludowych, a przez 10 lat w tak zwanych normalnych. Dla braku miejsca, jakkolwiek obszerne są gmachy szkolne, rozdzielają dziatwę na dwie gromady: uczęszczających do szkoły w godzinach rannych: od 8-ej do 1-ej, i w wieczornych: od 2-ej do 6-ej po południu; pierwsza z tych szkół daje uczniom całą godzinę

odpoczynku. Znajdują się przecież dzieci, które nie mogą korzystać z nauki nawet przy tak dogodnych warunkach. Rodzice bardzo ubodzy potrzebują pomocy dorastającego dziecka; gdy matka pracuje poza domem, starsza dziewczynka musi pilnować młodszego rodzeństwa, musi przygotować posiłek dla całej rodziny; szkoła też, przekonawszy się dokładnie o podobnym stanie rzeczy, uwzględniła go i dla tych-to dzieci istnieje tu kurs osobny: wieczorny, dwa razy na tydzień, i południowy, niedzielny. Ponieważ takich dzieci jest niewiele w każdej parafii, więc trudność nauczania oraz praca nauczyciela jest tu nie tak wielką, może on zatem prowadzić naukę tak starannie, że w razie polepszenia się warunków bytu dziecko bez trudności przechodzi do szkoły, której wykłady odbywają się w godzinach zwykłych.

Zaspokoiwszy potrzeby umysłowe, oraz odziaszy i obuwszy najbiedniejszych, szkoła nie zapomina, że nie stać niektórych na pożywne jedzenie: więc codziennie, w każdej szkole po kilkadziesiąt dzieci dostaje: jedno obiad, drugie kolacya. Gdy fundusze szkoły nie wystarczają, ofiarność prywatna pośpiesza z pomocą, i w ten sposób 2.000 dzieci uczęszczających do szkół ludowych otrzymuje codziennie zdrowy i pożywny pokarm, a to naprzemian, jednego dnia dziewczęta, drugiego chłopcy. To, co jedzą, było smaczne, posilne i czysto przyrządzone; przekonałam się o tem osobiście, bywając obecną przy rozdawaniu tych posiłków w rozmaitych miejscach i w rozmaitych godzinach dnia. Podstawę stanowi tu mleko, którego niezmierną ilość zużywają w Sztokholmie, a to i w najwzrostszych i najniższych klasach, fałszowanie zaś mleka jest tu nieznanne zupełnie. Co prawda, kommissya sanitarna ściśle tego przestrzega i nakłada na fałszerzy kary znaczne. Jednym słowem: mleko, które dzieci szkół ludowych dostają, jest lepsze od najlepszego, jakie otrzymać można na targach warszawskich.

Roboty ręczne, pospolitego użytku, a następnie slöjd jest przedmiotem troskliwej opieki ze strony zarządu szkoły. Od pierwszej klasy nauka robót niezmiernie systematycznie jest przeprowadzana. W trzech pierwszych klasach chłopcy wraz z dziewczętami wykonywają roboty drutowe oraz szyją, a każda z tych robót ma cel praktyczny i służy do użytku jakiegoś. Wszystkich materiałów dostarcza szkoła; majątniejsze dzieci zwracają przecież koszt ich, i zabierają przedmiot do domu.

Od 3-ciej klasy chłopcy zajmują się slöjdem. W pierwszym roku wyrabiają rozmaite drobne wyroby z tektury; dwa następne lata są poświęcone stolarstwu, reszta zaś czasu, tak terminowania szkolnego, jak i poza nim, oddana jest wyłącznie robotom z żelaza, stali i blachy, a we wszystkich tych działach zwraca uwagę oglądającego niezmierną dokładność wykonania i pomysłowość wyrobów, odpowiadających zawsze siłom dziecięcym.

Dziewczynki uczą się również w dalszym ciągu robót kobiecych i stopniowo dochodzą do starannego bardzo szycia i dobrego kroju staników. W 12-tym roku życia, czyli w 6-tej klasie, każda jest zdolną uszyć koszulę, a w 7-mej klasie suknię.

Nie obejmuje to jeszcze całego zakresu pracy dziecięcej. Poza godzinami szkolnymi mnóstwo dzieci pozostawałoby bez zajęcia, zwłaszcza dzieci rodziców mało lub wcale o nich nie dbających, albo też tak zajętych na mieście, że ledwie późnym wieczorem do domu powracać mogą. Z takich-to dzieci tworzą się wszędzie zastępy małoletnich żebraków, włóczęgów i złodziei kieszonkowych, i Sztokholm nie był nigdy od nich wolny, i dopiero dzięki inicjatywie pani Anny Retzius, żony uczonego profesora i anatoma Gustawa Retziusa, złe zostało, jeżeli nie usunięte, to znacznie zmniejszone, i dziecko żebrzące na ulicy należy teraz do rzadkości.

Rozporządzając znacznymi funduszami, zapisanymi na rzecz dobra publicznego, z zapisu ojca swego Larsa Hiertas, p. Retzius otworzyła w każdej parafii, przy szkole każdej: „pracownię dziecięcą”. Dwa razy na dzień przechodzą dzieci od 7-miu do 12-stu lat na dwie godziny do tych pracowni, i tam pod okiem uzdolnionych nauczycieli i nauczycielek uczą się rozmaitych robót, i tak

wypłatają koszyki z łoziny i łyka lipowego, z tego łyka również plotą ładne i bardzo dobre wycieraczki do nóg, słoma bowiem jest w Szwecyi materiałem kosztownym, łyko więc zastępuje ją tutaj. Dzieci również wyrabiają szczerki, na warsztatach stolarskich heblują deseczki, z czego powstają następnie zgrabne stoliki, półki na kwiaty, podstawy pod koszyki i mnóstwo rozmaitych drobnych przedmiotów codziennego użytku. Wszystkie te roboty dziecinne posiadają zalety dokładności oraz pożyteczności, sprzedają się bowiem na rzecz pracowni i częściowo przyczyniają się do ich utrzymania. Jest też obok tego w każdej takiej pracowni chłopców i nauka szewstwa, nauka naprawy obuwia, dawana wszystkim dzieciom do szkoły uczęszczającym.

Wszystkie zajęcia wyżej wymienione są udziałem chłopców; dziewczęta mają zamiast stolarstwa tkactwo w kilku rodzajach, zamiast szewstwa wyrabiają wyborne ciepłe pantofle z flaneli lub innej wełny na sznurkowych podeszwach. W ogóle roboty zależą od pomysłowości nauczycielek i środków pracowni. Jedną z nich obdarowywa kawałkami najrozmaitszych materiałów największy i najpierwszy tutaj magazyn mód, ubierający królową i dwór cały: magazyn siostr Lundin. Otóż tam widziałam dywaniki z kawałków, układanych w deseń i zeszytych ze sobą lub na drutach robionych, stopy wcale gustownych wycieraczek do piór, nawet sukienki dziecinne robione z kawałków, dalej piłki obrobione włóczkami w różnych kolorach, leżące z wełny, i t. p. drobiazgi. Dwa razy do roku odbywa się wyprzedaż tych przedmiotów, zwykle wtedy rozchwytywanych przez publiczność, jakkolwiek w każdym czasie kupować je można.

Widząc te nagromadzone tu stopy przedmiotów wykonanych z tanich materiałów, z materiałów przez dorosłych odrzuconych, i patrząc na te drobne ręce, które je wykonywały, podziwiałam rozum ludzki, gdy w połączeniu z zaciętością intencji działać zapagnie, zastanawiając się zarazem nad ogromną korzyścią tych pracowni dziecięcych, korzyścią moralną, która z nich płynie, oraz nad bezpośrednim ich pożytkiem. Dzieci przychodzą do tych pracowni kolejno trzy razy na tydzień, we dnie zaś, w których pozostają w domu, mogą pracować dla siebie. Pracownia płaci im za każdą, choćby najprostszą, przedmiot tej domowej pracy, nawet za plecionkę do maty, którą w pracowni szkolnej wykończą. Za metr plecionki z łyka, który to materiał jest im dostarczany, dostaje dziecko 1 ör, niecały grosz. Pilne dziecko może zrobić 25 metrów, i co za radość potem dziecka i rodziców, z takiego zarobku! — co za zachęta do siedzenia w domu, zamiast biegania po ulicy, jakie nawykanie do pracy bez przymusowego napędzania do niej, bez pilnowania! Drugim środkiem rozbudzenia pilności pracowni, bo nie zapominajmy, że to są dzieci klas najniższych, rozpróżniaczone i ostatecznie bardzo jeszcze młode (najstarsze mają zaledwie 12-cie lat), jest obiad lub kolacya, stosownie do tego, czy dzieci należą do porannego czy do wieczornego oddziału. Niezmiernie rzadkim jest wypadek, aby które z tego drobiazgu nie zasłużyło na jedzenie.

Dostaje tu ta dziatwa wszystka naprzemian: mięso, kaszę owsianą z mlekiem i żupę grochową, którą tu robią zawieszistą i posilną, i którą też za przysmak uważają. Widziałam nieraz dzieci te przy jedzeniu: niektóre rzuciły się na talerz, jak wilczki zgłodniałe, a po skończeniu wyciągały rękę, na znak, że proszą jeszcze, a wtedy dawano im po drugim talerzu. Byli amatorowie i na trzeci, a i tego nie odmawiano: rozdawano, rozdawano póki starczyło, a starczyło dla wszystkich i wszyscy odeszli nasyćeni i zadowoleni.

Każda pracownia dziecinna ma obecnie swoich wyłącznych opiekunów i opiekunki, a istnieją one od lat pięciu i z każdym rokiem rozwijają się pomyślniej. Przy mnie dwie młode panienki z arystokratycznymi nazwiskami asystowały tej uczcie biednej dziatwy. Ich ofiarności zawdzięczała pracownia biała, czystą ceratę, która rozpościła na długich stołach do robót przeznaczonych, nadawała całemu zakładowi jakiś wykład milego porządku i jakgdyby rodzinnej staranności. Gdy nadejdą święta Bożego Narodzenia,

dzieci na całe trzy tygodnie zostają zwolnione od pracy i zajęć, ale tak szkoła jak społeczeństwo nie zapomni o nich. Całe szeregi książek i wydawnictw dla dzieci czekają na małych nabywców, a wszystko zarówno starannie wydane, jak przystępnie dla ich środków. Wprawdzie dopiero lat temu kilka doszli Szwedzi do tej doskonałości, że mają książki dla dzieci dobre, ładne, z obrazkami, i tanie, — jakże tanie w porównaniu z naszymi!

W stowarzyszeniu kobiet Fryderyki Bremer urządzają specjalną wystawę książek dla dzieci, obok których znajdują się katalogi ułożone według wieku, z krytyczną notatką o wartości każdej książki, co jest wyborną wskazówką dla kupujących. Aby zaś dać pojęcie o taniości tutejszych książek dla dzieci, przytoczę jeden tylko przykład: przeszłego roku wydano na Nowy Rok w formacie „Tygodnika Ilustrowanego”, gruby zeszyt pełen obrazków, z dwoma arkuszami chińskich cieni do wycinania. Cena była 75 örów (to jest około 50 groszy). Uznano to jednak za rzecz drogą, i w roku bieżącym wydano w tym samym rodzaju równie starannie ilustrowany noworocznik za 25 örów. Rozeszło się już tego wydawnictwa 75.000 exemplarzy.

Obok tego cennego wydawnictwa zwraca uwagę staranność zamieszczonych tu rysunków; kilka pań rysowniczek, specjalnie tej gałęzi sztuki się poświęca, a szukając zawsze wzorów i typów swojskich, podnoszą wartość ilustracji. W bogatym zbiorze wydawnictw noworocznych dla dzieci zaledwie jedna trzecia bywa tłumaczoną, co zaś do ilustracji zapożyczonych, te z Anglii pochodzą, są też o wiele ładniejsze od niemieckich, a pod względem etycznym przewyższają francuskie.

W czasie letnich wakacji szkoła nie opuszcza swych wychowanców. Najslabszych i najbiedniejszych wysyła na kolonie letnie, które, tak jak u nas, cieszą się sympatją ogółu. Istnieją one od 1885 roku. Ilość dzieci wysyłanych z każdym rokiem zwiększa się; w przeszłym było ich 498, a dwumiesięczne utrzymanie całej tej rzeszy kosztowało 16.082 koron (po 1 fr. 40 c.). Są to wakacje, bo uwalniają wszystkich tę dziatwę od wszelkiej pracy obowiązkowej, aby pobyt na wsi, nie był, jak się wyraża sprawozdanie, dalszym ciągiem szkoły. Starają się jednak poddać dzieciom zajęcia rozmaite około gospodarstwa domowego, a każda kolonia posiada ogród, którym się dzieci zajmują.

Dzieci pozostałe w mieście otrzymują przez czas letnich miesięcy kąpiel darmo lub za opłatą 2 örów i naukę pływania bezpłatną.

Każda potrzeba, każda niedola dziecięca znajduje tutaj nie tylko współczucie, ale rozumne środki zapobieżenia jej. Obecnie, ponieważ rok jest cięższy od innych i wiele matek karmiących niemowlętą bardzo nędźnie musi się odżywiać, panie tutejsze zakrzętnęły się gorliwie, aby takim matkom dostarczać świeżego i zdrowego mleka. Powiadają tutaj, iż jest tego potrzeba niezbędną, dodając, że łatwiej jest zapobiedz teraz złemu, niż później, gdy z tych niemowląt, źle odkarmionych, powstanie całe pokolenie wątłe, niezdolne do pracy, podległe wyniszczającym chorobom. Usiłowania ich, poparte przez zarząd tutejszych tanich kuchni, w znacznej przynajmniej części, osiągnęły cel zamierzony.

Drugą, niezmiernie sympatyczną instytucją, będącą dopiero w zawiązku, jest projektowany zakład dla dzieci kalek nieuleczalnych. Zakład będzie miał nie tylko na celu udzielanie schronienia, jedzenia i okrycia tym biednym, wydziedziczonym istotom, ale przede wszystkim chce nauczyć je pracy, stosując tę pracę do środków, które im rozporządzać mogą.

Ma się rozumieć, że i dzieci — kaleki, z którymi rodzice nie zechcą się rozstać i mogą je utrzymać w domu, będą mogły uczęszczać do zakładu, aby nabyć tam nieocenionej nauki pracowania jedną ręką, gdy druga władca nie może; pracowania nogami, jeśli oba rąk brakuje; wykonywania rozmaitych robót, pomimo, iż nieszczęśliwy jest w ciemnościach pograżonym. Kilku zacnych ludzi krząta się nad zbieraniem funduszy odpowiednich do założenia takiego zakładu, i niedawno odbył

się właśnie bardzo sympatyczny koncert na ten cel, a występowali w nim jako artyści sami młodzi lekarze. Koncert ten budził powszechne zajęcie i powiódł się zupełnie.

Ażeby się przekonać jak rzesza Milusińskich jest wszechwładnie panującą w Sztokholmie, dość jest wyjść na ulicę w dzień zimowy, gdy już śnieg ziemię pokryje. Tysiące saneczek, a na nich po dwa lub trzy nawet różowych buziaków z iskrzącymi z radości oczyma, sunie przez ulicę, gdzie tylko pochyłość lub bardziej wysłizgane miejsce. Staranne ubrania wielu z nich wskazują, że przyjemności ślizgania się na saneczkach używają dzieci wszelkich klas i zdziwienie ogarnia, jak można dzieci narażać na niebezpieczeństwo upadku przez potrącenie lub najechanie. Wprawdzie ruch na ulicach tutejszych jest niewielki, ale inny wzgląd uspokaja rodziców. Wiedzą oni, że dzieci są pod opieką wszystkich przechodniów, że każdy ustąpi z drogi sunącemu saneczkom, każdy woźnica powstrzyma konie lub je w bok zwróci, gdy widzi dziecko przed sobą, że wreszcie każdy policyant stojący na rogu ulicy jest naturalnym opiekunem dzieci używających rozkoszy zimy.

To ślizganie się saneczkami jest specjalnością szwedzką. Z prawdziwą tu przyjemnością patrzy się jak czteroletni malec, wyprostowany i trochę w tył podany, puszcza się śmiało z pagórka na malutkich saneczkach do jego wzrostu zastosowanych i tak urządzonych, że nawet przewrócenie się nie wywołuje innych następstw prócz niewinnego koziołka i wesołego śmiechu.

Na niektórych skwerach umyślnie są usypane pagórki, ażeby dzieciom dać możność używania tej przyjemności; jest to bowiem także niewątpliwym środkiem hartowania i wyrabiania sił fizycznych. Zawsze i wszędzie Szwedzi pamiętają o przyszłości: Jakie dziecko, taki człowiek, a zatem: „Jakie dzieci taki naród“.

Helena Kuczalska.

PIERZCHLIWY PTAK

POWIEŚĆ

przez

Kazimierza Glińskiego.

(Dalszy ciąg.)

Zbudzone raz serce nie układowo się do snu raz drugi. Tak! teraz-by go zabiła tęsknota. Z odalenia kochałby więcej i szalał!

Zatrzymał się w pół pokoju, splótł palce silnie i wpatrzył się przed siebie.

— Zostanę! — rzekł z mocą. — Może przyzwyczają się oczy do niej, z dźwiękami jej głosu słuch się oswoi, zobojętnieje serce. A jeśli nie? Lepiejże mi będzie choćby na krańcu świata? Gorzej, stokroć gorzej! Oddam się pracy, zabiję się nią: innego dla mnie wyjścia nie masz!

Postanowił więc zostać, tylko, o ile można, unikać domu sąsiada i spotkania się z Zofią. Znajac Skalskiego od dzieciństwa, wiedział w jakiej sferze wychowywał się wybraniec losu. Na szaraczkową brać szlachecką patrzył popańsku, z góry — a jeżeli z nimi szerszym był i więcej przyjacielskim, niż z innymi, to dlatego, że stary Skalski coś Korabiczom zawdzięczał, służąc niegdyś pod jedną chorągwią, pozwalając więc małemu Zygmunowi łączyć się z małym Michasiem. Tak między dziećmi jeszcze zawiązał się przyjacielski stosunek i byli z sobą czasem na pan, na ty czasem. U rodziców panny Zofii bywali obaj i obaj rozkocharali się w dziewczynie, Zygmun tylko bywał częściej i głośno o uczuciach swych mówił: Michał krył się z nimi, bał się rekuzy bogatej dziedziczki. Na szczeblu towarzyskim stał niżej od niej, wiedział,

że nie łatwo złamać przesady, przesady pewnych warstw społeczeństwa, czuł się więc onieśmiolonym, czekał, a tymczasem Zygmun sprawy dobił.

Wieść o ożenieniu się Skalskiego, jak grom padła na biedną głowę Michała. Nie chciał po ślubie spotkać się z nią, którą ubóstwiał, lękał się siebie i wybuchu rozpacz. Uciekł — zdawało się, że zapomniał; powrócił — i miłość wróciła z nim razem. Nie poskutkowało raz użyte lekarstwo, daremnieby było próbować raz drugi. Wiedział, że musi cierpieć, a wszystko jedno tu — czy tam.

Chodziło mu tylko teraz o oziębienie stosunku, nie gorącego zresztą, z samym panem Zygmuntem. Wiedział, że gdyby nawet stosunek ten całkiem się przerwał, Zygmun żadnejby nie doświadczył przykrości. Chciał przedewszystkiem unikać spotkania się z Zofią. Trudniej to jednak było, niż sądził.

Na drugi dzień po wizycie u Skalskiego, gdy siedział w swym pokoju, zajęty rachunkami — pan Zygmun z żoną przybyli doń z rewizytą. Po tych odwiedzinach nie prędko pan Michał zamierzał być u sąsiada, który, trzymając się form przez etykietę przyjętych, nie pośpieszyłby go odwiedzić raz drugi: Korabicz nie był szambelanem. Ale za blisko siebie były dwa dwory, ażeby uniknąć można było mimowolnego spotkania.

Piękny park pana Zygmunta jedną stroną przylegał prawie do gospodarskiego obejścia Michała. Szeroka aleja lipowa rozdzielała tylko dwa terytoria. Lekko pochyłą linią ogród podnosił się ku górze i panował nad skromną zagrodą Korabicza. Pięknymi skrzętami wily się żółte ścieżki, kryjące się w cieniach klombów, ślały się w głąb, daleko, zielone kobierce gazonów, mieniły się żywą grą kolorów rabaty przepełnione kwiatami. Nieraz, wracając z toku, pan Michał rzucał spojrzenie na aleję ogrodu — i oto, między zielonemi drzewami lip czy świerków mignęła sukienka Zosi i postać jej odbiła się na ciemnym tle klombów. Raz ją dostrzegłszy, Korabicz nie mógł już wzroku swego odwrócić. Opierał się o pień drzewa, w pół przysłonięty wysokim parkanem, patrzył nieruchomo, dopóki mu z oczu nie znikła. Kilka razy dziennie gospodarstwo musiał obejrzeć i kilka razy dziennie między drzewami parku dostrzegał postać Zosi. Wracając do domu wzburzony, zamykał się w pokoju i nieraz musiał całej siły woli użyć, by mu łzy z oczu nie trysły.

Dni cztery nie wychodził, bał się znowu ujrzeć tę, której pożądał tak bardzo. Park tak duży: dlaczego ona w odleglejszych błądzi alejach? Przypisywał to słusznemu wypadkowi, niemogącemu się przecie codziennie powtarzać.

Na dzień piąty wysunął się z ukrycia i poszedł do gumien. Wracając ze spuszczonego oczyma, gdy jakiś turkot w lipowej alei zwrócił jego uwagę. Podniósł oczy, jechał wóz chłopski, kłęby pyłu sunęły się długim pasmem i szara mgła park przysłaniała. Korabicz patrzył na wijące się kłęby kurzawy, która opadała powoli. Z za mgły pokazały się drzewa parku i blade-błękitna sukienka. Zosia dojrzała go zdaleka, trzymaną w ręku chusteczką powitanie mu posłała raz, drugi i trzeci... Jak pięknie kontury jej postaci rysowały się na ciemnym tle drzew! jak wdzięcznym witała go ukłonem! — Pochyliła się raz jeszcze, musiała się uśmiechnąć. Z cieniów brzościej alei wyszedł Zygmun, Zosia ręką wskazała stojącego Korabicza. Skalski powitał go znaczącym ruchem ręki, później podał ramię żonie — i poszli.

Michał wrócił do siebie i kazał kredensowemu chłopcu zawołać starego Piotra, który był pasiecznikiem u nieboszczyka ojca i teraz tę godność u syna piastował.

— Słuchaj, Piotrusiu — rzekł — mam ci coś do powiedzenia.

— Kiedy mowa to mowa — odparł dziad, wspierając się na palce gruszowej.

Korabicz położył rękę na ramieniu staruszka i dalej mówił:

— Kiedy mnie nie było, zajmowaliście się, ojciec, moim gospodarstwem. Dobry z was pasiecznik, a i gospodarz nie zgorzys. Znalazłem porządek, ład i grosza trochę, któryście u siebie w skrzyni dla mnie schowali. Że wam wdzięczny jestem za to, wiecie — ale... wyręczcie mnie i nadal w gospodarstwie.

Dziad pochylił głowę na lewe ramię i białą pogładził brodę.

— Kiedy wyręczenie, to wyręczenie — mruknął. — Ale, co to pan myśli?... w świat znowu? he?

— E, nie! — rzucił Michał.

— To i jakże? — zapytał stary.

— Odzwyczaiłem się od gospodarstwa; nudzi mnie doglądanie spichrzów i wałęsanie się codzienne po toku. Wolę siedzieć w domu z książką w ręku — a tam ty mnie wyręczysz.

Dziad pokręcił głową.

— No, co? — spytał Korabicz.

— Czy pan weterynarz, żeby w czytanie się bawił? Czy Daniela w Satanowie nie ma, co i krew puści i inny opatrunek zrobi? — at!

Pan Michał się uśmiechnął.

— Inna to książka, Piotrusiu.

— Betonika może?

— Tak, tak — botanika!

— Betonika — poprawił pasiecznik.

— Zatem?

— Jak pan chce, tak być musi i owszem! Tylko do pomocy dacie mi kogoś, bo to ja głowę mam, ale nogi potrzebują już wyręczenia.

— Dobrze, dobrze! Wybierzesz sam pomocnika. Dziękuję, serdecznie dziękuję!

Obdarzwszy godnością zarządzającego starego Piotra, Korabicz uczuł się swobodniejszym. Zamknął się u siebie i dni całe nad książką spędzał. Dziad o godzinie czwartej z rana przychodził pokłuze, wieczorem je odnosił i zdawał raport z dokonanych zajęć.

Ciężko panu Michałowi było pośród samotnych ścian. Potrzebował powietrza, przestrzeni, trochę słońca i zieloności trochę. Dnia pewnego postanowił przejść się — ale — do kogo się udać? Przypomniał sobie samotny stawek wśród pola, nawiedzany chyba przez jaskółki lub ptactwo przelotne. Słońce się miało ku zachodowi, gdy Korabicz wybrał się do upatrzonej miejscowości.

Małą, wydeptaną drożyną szedł pośród dojrzewającego zboża. Wilgotny powiew zwiastował mu, że blisko jest celu wędrowki. Zrobił jeszcze kroków kilka, wypłynął z fal wysokiego żyta i stanął jak wryty. Nad brzegiem stawu siedziała Zosia, pan Zygmun u jej nóg spoczywał.

— A! — zawołał, śmiejąc się Skalski — aż tu spotykamy się nakoniec!

— Co to pan taki niełaskaw na nas? — odezwała się pani Zofia, powstając szybko. — Czy pan czekasz powtórnej naszej wizyty i ceremonialnych zaprosin?

Wyciągnęła rękę, serdecznym uściskiem witając przybyłego.

— Odwiedzin tych — mówiła dalej z uśmiechem — w rachunek nie bierzemy.

— Nie spodziewałem się tu państwa zastać...

— I dlatego przyszedłem? — dokończyła wpół pytająco.

— A! to dobrze się wybrał — zaśmiał się Zygmun, podnosząc się z ziemi. — Doskonale się wybrał!

— Bo-co? — spytał Korabicz.

— Bo my tu jesteśmy codziennymi gośćmi...

— Rano, w południe i w wieczór — dodała pani Zofia.

Lekka bladeść pokryła czoło Korabicza: musi więc ją widzieć wszędzie i zawsze!

— A! — szepnął w duchu — przeciw wodzie nie płynąć.

Postanowił dać za wygraną wycieczkom nad staw, gdzie, spotykając się z nią, musiał serce oddawać torturom.

Powitał Zygmunta i starał się być wesołym.

— Cóż tam słyhać u ciebie, panie Michale?... jak znalazłeś gospodarstwo — spytał Skalski.

— Poczciwy Piotr lepiej odemnie się sprawiał — odpowiedział Korabicz. — Cóż tam u was?

— Czy wiesz pan? — zawołała pani Zofia — że mój mąż chciał posyłać umyślnego do Brzezina, w celu dowiedzenia się, czy wujaszek Denis przyjechał. Ledwie go od tej myśli odwiodła.

— I cóż w tem, moja duszo, dziwnego? — rzucił Zygmun. — Przecie nie sam się wybierałem, lecz chciałem wysłać posłańca, i to nie z listem do wuja, tylko na zwiady.

— Przyznaj się, że ten szambelan do głowy ci zajechał.

— Dajże spokój z temi żartami, które miłemi dla mnie być nie mogą.

— Przepraszam! — rzekła Zosia, składając ręczki nabożnie...

Zygmunt pokręcił wiasa i zaczął przechadzać się wzdłuż brzegu.

— Brrr... czegoś chłodno — odezwał się. — Chodźmy do domu.

Mieli wyruszać z powrotem, gdy Skalski zatrzymał się.

— Panie Michale! — rzekł — podaj rękę mojej żonie i zechciej jej towarzyszyć. Ja wnet podążę za wami, obejrzę tylko pszenicę po drugiej stronie stawu, gdzie — jeżeli mnie wzrok nie myli — ktoś parę snopów zerznął.

Poszedł brzegiem stawu. Zosia zwróciła się do stojącego nieruchomie Michała.

— Służę panu — odezwała się, z uśmiechem rękę mu podając.

Korabicz, jakby wahał się chwilę, stał czas pewien, wreszcie pochylił głowę i ramieniem swem służył.

— Czy pan zawsze taki grzeczny? — spytała, podnosząc głowę i fiołkowemi oczyma w żrenice mu patrząc.

Usta pana Michała zadrżały, ale nie znalazł słów na odpowiedź.

Minut kilka szli w milczeniu wśród zbóż, które złocistemi kłosami strzelały im nad głowy i trącając lekkim oddechem wiatru chyliły się, zabiegając drogę, jakby powstrzymać ich chciały; czasem wysoki kłos żytni dotknął skroni pięknej towarzyszyki Korabicza i pochylił się ku jego ustom. Dziwiło Zofię to uporne milczenie Michała; co chwila podnosiła głowę i patrzyła na towarzysza, który szedł przy niej jak senny. Był przy niej, czuł ciepło jej ręki, słyszał oddech piersi, widział jej usta korallowe i oczy podnoszące się ku niemu. I tak pełno w piersi mu się zrobiło, uderzyło serce tak rozkosznie, jakby jeszcze miał prawo o szczęściu zamartwić.

— Niczego nie chcę, niczego nie pragnę — szeptał do siebie — jak tak pozostać z tobą przez wieczność całą. Ach! gdyby to był sen — sen, który przebudzeń nie ma!

— Panie Michale! — odezwała się nagle Zosia.

Korabicz drgnął, sen pierzchnął.

— Co panu? — spytała.

Michał opamiętał się szybko, uśmiechnął się i rzekł:

— Widzi pani jak jestem źle wychowany: zamiast bawić panią rozmową, oddaję się rozmyślaniom jakimś... El! niedobry ze mnie towarzysz!

— Żałujesz pan przegranej w Monte-Carlo? — spytała.

Michał uczuł silne szarpnięcie serca, aż wstrzymać się musiał.

— Żałuję! — rzekł.

Dziwnie mocno głos jego zabrzmiał.

— Czy straty tej powetować nie można? — badała inkwizytorka.

Korabicz wpatrzył się w nią oczyma, które zmieszaly pytającą. Oczy te miały jakiś blask metaliczny, niewidziany dotąd u niego, blada twarz pokryła się silnym rumieńcem, usta drżały, jak chciały powstrzymać gwałtownie rwące się słowa.

— Sprawiam panu przykrość — szepnęła Zofia — przepraszam! O nie już pytać nie będę.

— Nie... nie... nie! — zawołał Korabicz porywczo. — Pytaj, pani... pytaj! ja ci na każde pytanie odpowiem.

— Dajesz mi pan prawo?

— Zupełne.

— Może po spowiedzi lżej panu będzie?

— Lżej, lżej — powtórzył.

— Zatem...

Zatrzymała się chwilę.

— Pan się kochałeś...

— Tak.

— Pan kochasz...

— Tak.

— I kochać pan będziesz?

— Tak!

Tchnął ciężko.

— Dosyć! — szepnął — nie pytaj, pani, o więcej. Ta, którą kocham, o mojem uczuciu nic nie wie i wiedzieć nie powinna.

— Dlaczego?

— Byłoby to klęską dla niej — zgubą dla mnie! — Czy ona ztąd daleko przebywa?

— Tysiąc rzek, tysiąc gór nas rozdziela — zawołał Korabicz — niezmierzone przestrzenie, nieprzebyte przepaści... Al! ot i mąż pani — rzekł nagle, zwracając się do podchodzącego Zygmunta.

— O czymże to gawędziliście? — zapytał Skalski.

— A... o przegranej mojej w Monte-Carlo. Żona twoja zmusiła mnie do wyznań i... spowiedź uczynić musiałem.

— Pewnie się kochałeś! — rzucił Zygmunt.

— Niestety! — westchnął Korabicz.

— Przemijająca choroba — zaśmiał się Skalski.

— Panie mężu? — zawołała Zosia. — Mówić tak, przy mnie?

— O! ty się tego lękać nie możesz. To chorobsko tak się mnie uczepiło, że go już żadnem zaklęciem nie odegnam.

Zaśmiał się, ucałował śliczne czoło żony i na przód poszedł.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYŻKIE.

(Dokończenie).

Dnia 1 Marca 1892 r.

Chwilowy powrót zimy. — Wilgoć i roztopy. — Ministerium Freycineta na falach powodzi. — Powody upadku. — Nowy gabinet Loubeta i policzek za policzek. — Constans opuszczony przez wszystkich. — Zapowiedź krachu w teatrze. — Krytyka i publiczność. — Gwałtu, nowości! — Odpowiedź Augiera. — Chirac i jego repertoar. — Teatr realistyczny. — Przeróbka i naśladowanie starych. — Ybsen na scenie francuskiej. — Nowa sztuka w Teatrze Francuskim *Par le Glaive* Richepina. — Nowa opera Mascagniego *Cavalleria Rusticana*. — Sąd i przyjęcie w Paryżu. — Nowe książki. *Tajemnica sprawy w Fourmies*, *Drummonta*. — Pojedynek żydowski. — *Rose et Ninette*, *Alfonsa Daudeta*. — Prawo rozwodowe — E. Zoli. — „Roztop“ (*Le Débâcle*). — Kobiety uczące się na fakultecie paryżkim. — Wyrok śmiertelny na Anastay'a. — Deacon i Abeille; morderstwo w Cannes. — Kalemur.

Tym, których nie zadowolnić Shakespeare, poprawiony przez nie — Szekspirów, starano się dogodzić ciężkim i niesforemym Ybsenem, już bez poprawek i w ohydnych tłumaczeniach, gdzie reszta niewielkich zalet tego marzyciela zginęła wśród rozwojonej i niepoprawnej prozy tuzinkowego tłumacza. Publiczność i tu dowiodła, że jest mądrszą od swych nauczycieli i próby podjęte w celu przyśwojenia scenie francuskiej dramatów Ybsena nie powiodły się wcale.

Pewni propagatorowie tej cudzoziemskiej *ex professo* daremnie się silili wyjaśnić symboliczną prozę Ybsena w dramatach jak: *Dzika kaczka*, *Hedda Gabler* itd. Roztargniona publiczność Paryża, która w teatrze szuka zabawy, a nie lekcji lingwistycznej — psychologicznej — publiczność ta wobec utworów poety norweskiego pozostała jak wobec literackich *potworów*: chwiejącą się w początku, zdumioną, ale w końcu całkiem już znudzoną i oziębłą.

Może przebrano miarę, lecz jeśli przeróbki i poprawki Shakespeare'a są nonsensem i prawdziwym grzechem literackim, to tutaj, co do Ybsena, stałyby się może doskonałymi w swem zastosowaniu. Chaos, jakim się otacza norweskimi dramaturg, potrzebuje światła i porządku. Sztuki jego, dostępne dla rodaków, jako dzieła pełne zalet stylu i pomysłu w oryginale, mogą być przedstawiane na obczyźnie tylko w doskonałym tłumaczeniu i po należytem wytrzeźwieniu tego istnego lasu myśli i wyrażań.

Teatr francuski, który w dawniejszych czasach tak srodcie bronił przystępu do swej sceny i najlepszym dramatom romantycznym, dziś z pośpiechem otworzył wejście jednej z tych sztuk, które nawet w owe czasy *szalonego romantyzmu* jeszcze-by z trudnością znalazły dyrektora, gotowego rzucić się na łeb, na złamanie karku.

Nowa sztuka, której powodzenie wątpliwe — a raczej powiedzmy prawdę — niepowodzenie, jest widocznym, ma za tytuł: *Par le glaive*, a za autora, znane go tu poetę i rapsoda, Jana Richepina. Pięć aktów, siedm obrazów, czy odsłon, i to wszystko wierszem — *excusez du peu* — jak mawiał Rossini. To nie piechota chodzi, a potrzebaby cały numer *Blusczu* zapłacić, aby zdać choćby najtreściwszą sprawę z tej sztuki. Czytelnicy i rodacya raczą mi wybaczyć, że poprzestanę na tej króciuchnej wzmiance. Zresztą jest to taki chaos, że nawet najżyyczliwsi krytycy tutaj dali za wygraną, — a zapewne i sam autor, uniesiony na swym pegazie, lejąc wiersze jak wodę, mało się biedził, dokąd i jak jedzie.

Dramat ten jest to nieodrodne dziecko starego romantyzmu. Rzecz dzieje się w Rawennie w XIV w., w której przewodzi niemiecki zaborca, niejaki Wolff; wszystko, co się dalej rozwija, jest ciągiem usiłowań tego Wolffa, aby utrzymać gwałtem w swych łapach podbite państewko i ukroć wszelkie usiłowania przeciwnych mu Włochów.

W następnych starciach i mordach Niemcy i Włochy puszczały wodze najszańszyszym żądom. Jest tu i para zakochanych, Guido i Rinalda, jest i mąż tyran, Conrad, jest i mściciel, Strada, a jak tu pracują noże i sztylety — o tem niema co mówić.

Tak dochodzimy, sztyletując się wzajemnie, do aktu IV, który niema nic wspólnego z tą rzezaniną i jest jakby *intermezem muzycznym*. A wszystko kończy się tem, że spiskowi zwyciężają Niemca. Ginie Wolff, ginie Rinalda; scena zasłana jest trupami i — *e sempre bene* — wiersze i hymny, jak nawalnica, zalewają wszystko.

Wystawić taką sztukę dziś, kiedy panującą nutą jest prawdziwość charakterów, pewna logika w rozwoju namiętności, prawdopodobieństwo w spełniających się faktach — dziś jeszcze przynosić w ofierze tę gałązkę romantyzmu — i jakąż gałązkę? — na to trzeba wielkiej odwagi, — nie mówię o autorze, ale o dyrektorze sceny. Publiczność, znudzona i zdenerwowana, ledwie dotrzymała do końca i, jak zwykle publiczność francuska, zemściła się, znajdując dowcipne słówko, zmieniające tytuł: *par le glaive* na *par le rasoir*!

Zwykle gra aktorów tego teatru, tak wysoko artystyczna, dekoracje i ubiory ratują kulawe płody. Tymrazem i to się nie powiodło. Okrajana i oberznęta w następnych przedstawieniach sztuka i tem się nie dała uratować — i na tem koniec.

Kiedy publiczność tak niechętnie przyjmuje to, co jej przedstawia scena, co jej podsuwają wydawcy, i czem ją wabi ku sobie nowożytny malarstwo słynnych „plenerzystów“ — scena liryczna lepiej się trzyma, a nawet staje się polem międzynarodowego współzawodnictwa.

Czytelnicy moi słyszeli już i wiedzą zkadinać, kto to jest zacz p. Mascagni i jego opera: *Cavalleria rusticana*; jak przetłumaczono po polsku: „Rycerskość wieśniacza“ — dlaczego „Rycerskość?“ — trudno powiedzieć, kiedy samo dzieło nie tłumaczy tego dość jasno. Ale mniejsza o to. Czytelnicy, supponuję, wiedzą, jak ta dwuaktowa opera, z dodaniem w przerwie *intermezza*, obiegła świat cały, dzięki reklamie urządzonej przez sławnego impresaria medyolańskiego, p. Sonzogno. Zanim się zjawiła w Paryżu, p. Sonzogno, biegły w swej sztuce eksploatacji muzycznych, wiedział co robił, ogłaszając *orbi et urbi*, że dzieło Mascagni'ego jest prosto arcydziełem i ostatnim wyrazem sztuki.

Tymczasem ta *Cavalleria* jest to utwór napisany na konkurs, który tenżesam Sonzogno ogłosił był dla młodych kompozytorów włoskich. P. Mascagni, wczoraj jeszcze skromny i nieznany nikomu kapelmistrz w małym miasteczku, otrzymawszy premium, staje się odrazu, dzięki p. Sonzogno, najpierwszym kompozytorem Włoch i świata całego.

W takich-to warunkach i taką reklamą poprzedzona *Cavalleria rusticana* ukazała się w Paryżu na scenie Opery komicznej. Słyszając tyle pochwał, nie dziwnego, że publiczność paryżka spodziewała się znaleźć w tem dziele wiele. Oczekiwanu jakby wielkiego gromu i błysku, coś, jakby zamachu stanu w państwie muzyki; Rossini, Meyerbeer, Wagner, Verdi, wszystko to znikało przed autorem nowej opery, niosącym wrzekomo nowe światła, nowe pochodnie, nowe ideały sztuki.

Otóż zaraz na pierwszym przedstawieniu pokazało się, że te szumne zapowiedzi były czystą mistyfikacją. Opera Mascagniego nie była ani lepszą, ani gorszą od tysiąca innych oper, była tylko dobrą na poczynającego kompozytora, lecz w tem dobrem nie było nic nowego i nadzwyczajnego. Nie dziw więc, że zmistyfikowani Paryżanie kręcili nosami, a krytyka, przyłączając się do tej manifestacji niezadowolenia publicznego, wypowiedziała bez ogródki, iż ujrzała dzieło z łaski p. Sonzogno jest dziełem dobrem na poczynającego kompozytora, dobrem, może i miernem — i nie więcej.

Na to cała prasa włoska odpowiedziała, ma się rozumieć, na jeden głos, że niepowodzenie *Cavallerii* przypisać należy nieprzyjaznemu usposobieniu Francuzi dla Włoch; wrzekoma konspiracja jest skutkiem całego systematu polityczno-handlowego; sąd jest niesprawiedliwy i t. d. Tak, dzieło przechwalone musiało trafić na kamień. Widzieliśmy, jak się to stało. Zostawmy już tę kawalerię Włochów na uboczu — niech sobie w ciszy sławy swej żączy.

Podczas, kiedy publiczność tutejsza tak kategorycznie objawia swą wolę teatrom i autorom dramatycznym, kwestya wydawnictw bieżącej literatury, hamując potrosze dawniejsze zbytne zapęły, musi jednakże iść naprzód, popychana przez ogromny zastęp piszących. Mamy tu wspomnieć o nowych ogłoszeniach, a choć niema nic nowego, pod względem oczekiwanego Messyasza literatury co do formy i tendencji, to tylko jedno należy powiedzieć, że są to znane już nam oddawna figury literackie, które i dziś największe zajmują miejsce na rynku księgarskim.

Mamy naprzód sensacyjną publikację anti-semityczną sławnego na tem polu pisarza, p. Edmunda Drummonta pod tytułem: *Le secret de Fourmies*. Czytelnicy przypominają sobie zapewne, że Fourmies jest to miejsce w północnej Francji, gdzie roku zeszłego zaszedł krwawy zatarg pomiędzy robotnikami kopalni węglowej i wojskiem, spowodowanym do przywrócenia porządku. Skończyło się o śmierć kilku, jak zwykle, najmniej winnych ofiar.

Sprawa to już dawno skończona, a nawet jeden z przewodców tego rozruchu, wybrany na posła zasiada w Izbie deputowanych; ale zajadły nieprzyjaciół żydów i nieukoiony publicysta Drummont przedsięwziął na własną rękę przeprowadzić śledztwo, którego Izba poselska dobrowolnie się zrzekła: badał więc świadków, nawiedził pokaleczone i poszkodowane ofiary, i doszedł komu ma być przypisana odpowiedzialność w tym względzie. Stało się więc, że tak niewielka książeczka jest zarazem poruszającym do głębi serca dziełem artystycznego wykonania i dokumentem niezmiernie interesującym, jako przyczynek do historii naszego czasu.

Podprefektem, a więc głównym urzędnikiem w Fourmies, jest niejaki p. Isaac, żyd, a więc nienawistny Drummontowi, który go zahaczył w swej książce w sposób taki, iż podprefekt uczuł się obrażonym głęboko i wyzwał pamflicistę na pojedynek. Ten się stawił na zawołanie i d. 19 Lutego pojedynek na szpady odbył się w okolicach Paryża.

Za pierwszym starciem się obaj przeciwnicy zostali lekko ranni i oświadczyli gotowość przyłożenia nawiązki i rozpoczęcia walki nanowo. Ale przyboczni lekarze oparli się temu formalnie. Pogodzono się więc na miejscu. — I wilk syty i koza cała.

Alfons Daudet jest jednym z poczytnych autorów, każda więc nowa powieść autora *Petit Chose* wprowadzoną zostaje w świat literacki z całym szeregami pochwał i okłasków. Tak się stało i dzisiaj z jego nową powieścią: *Rose et Ninette*. Jest to powieść tendencyjna, jedno z tych dzieł, gdzie do naprzód sporządzonych eleganckich ramek starano się wpakować pierwszą lepszą awanturę.

Idzie tu o wyjaśnienie jednej z najboleśniej-szych kwestyi rozwodowych: o los i przyszłość dzieci po rozwiedzeniu się rodziców. Prawo dozwolające rozwodów we Francji jest dziełem rzeczypospolitej. Wyszło ono z inicyatywy sławnego senatora Naquet'a. Prawo to jeszcze przed uchwaleniem go wywoływało najnamiętniejsze

spory, a po uchwaleniu stało się przyczyną nieustannych zatargów i walk w sferze umysłowo-obyczajowej. — Dziś zaczyna się już wszystko uspokajać, zacierać, ale Daudet, — jak wiadomo najczulszy ojciec i mąż — podejmuje mimo to w swej powieści kwestyę: co będzie z dziećmi w razie zerwania związku małżeńskiego rodziców? Temat ten rozwinął sławny powieściopisarz z właściwym sobie talentem. — Jakkolwiek sprawa sama nie jest już dziś tutaj na porządku dziennym, nie ulega przecież żadnej wątpliwości, że najgorętsi zwolennicy rozwodu, czytając powieść Daudet'a, odczuwają głębokie wrażenie, jakie sprawia potężna konkluzja *Rose i Ninetty*. — Powieściopisarz wywodzi ją z fatalnych następstw, z niezbędnych sytuacji — jakie stworzył w swej żywej wyobraźni, albo może wziął wręcz, *mutatis mutandis*, z życia rzeczywistego. — Jestem nawet przekonany, że główne okoliczności, główne osoby, główne zarysy, wyszły z żywej rzeczywistości; jest bowiem w niniejszej powieści tak jasna, czysta, tak żywa prawda, że jej największy nawet talent nigdy nie sprostą. Układ, koloryt, ozdoby kolorytu — to własność pisarza; główne fakta — to życie, widziane z bliska, a odmalowane w sposób przemawiający do umysłów i serc.

Emil Zola wydał ostatnią, jak powiada, część tego cyklu powieści, którego obszerne koło zamknęło w sobie całutką historią Rougon-Macquartów — *alias* historią burżuazji we Francji od początków Drugiego Cesarstwa aż do jego upadku w 1870 r.

Ostatnia ta część, która w pierwszym programie miała nosić tytuł: *Wojna* — nazywa się dziś *Le Débacle* (Roztop). Nie miałem jeszcze czasu przeczytać leżącej przedemną powieści: tom spory a nawał spraw i zajęć taki, że radbym podwoić, a nawet potroić godziny uciekającego czasu — ale nie chciałem pominąć sposobności, aby jednym przynajmniej słowem wzmianki oznajmić przyjście na świat nowego dziełca zolowskiej muzy.

Powieść ta jest to w sposób Zoli opisana historia wojny z Niemcami — i historia „straszego roku“, jak go nazwał był Wiktor Hugo. — Trochę się to zapomniało tej okrutnej klęski, którą ta powieść w żywych i jaskrawych maluje barwach; jest tu, jak zwykle, trochę przesady, trochę porwywego sądu, ale to są właściwości talentu pisarza. Za to nowy utwór Zoli tembardziej zaciekawia i zajmuje, że stanowi prawdziwe odbicie tego sądu, jaki tu wydał ogół o wypadkach i działaczach wojny. Jeśli obszerniejsze sprawozdanie okaże się użytecznem, nie omieszkam go złożyć.

Spychając co najważniejsze wiadomości bieżące, pozwałam sobie na kilka słów o tem, co nam przynosi dzisiaj statystyka naukowa. Oto są szczegóły dotyczące się szkół wyższych — i dane wyjaśniające ruch uczącej się młodzieży za rok ostatni w okręgu uniwersyteckim Paryża.

Liczba uczniów w ogóle w roku szkolnym 1890/91 wynosiła 10.518 — co stanowi przewyżkę nad rok poprzedzający o 344 uczniów. — Z tej liczby uczęszczających na fakultet medyczny było 4.074, na literacki 1091, na przyrodniczo-matematyczny (Sciences) 668, teologiczny protestancki 35, (nadt o około piętnastu cudzoziemców), a na koniec farmaceutów 1.560.

Ta liczba, tak poważna, stanowi agglomerację, która nie jest bez *ale*. Widocznie Uniwersytet Paryżki pochłania w sobie część większą sił żywotnych innych fakultetów całej Francji — tem bardziej, że na fakultecie medycznym część piątą uczniów pochodzi z obczyzny, nie z Francji.

Tu będzie miejsce powiedzieć słów kilka o miejscu, jakie zajmują kobiety w tem zbiorowisku młodzieży uczącej się w Paryżu.

W roku 1890 było kobiet 152, na rozmaitych fakultetach; na rok 1890—91 liczba ta wzrosła do 252. Ludzie poważni, dobrze zawiadamiani sądzą, że po większej części wzrost ten należy się cudzoziemkom a szczególnie pochodzącym z Rosyi. Wiadomości urzędowe pokazują, że na fakultet medyczny uczęszcza rzeczywicie: 18 Francuzek, 6 Angielek, 3 Rumunki, 2 Turczynki (Ormianki), Greczynka, Amerykanka i 103 cudzoziemki z Rosyi; na fakultecie Przyrodniczo-mate-

matycznym jest 5 Francuzek a 14 cudzoziemek, na literackim — 82 Francuzki a tylko 15 cudzoziemek.

Z tej liczby uczących się kobiet 3 otrzymały dyplomy doktorów medycyny — a wszystkie trzy pochodzą z Rosyi. Rozprawa jednej z nich, panny Melhae, otrzymała list pochwalny, (mention honorable). Na fakultecie literackim Greczynka, panna Callisperi, otrzymała dyplom *de la licence*.

Muszę iść w ślad za wypadkami, jak się one układają w rzeczywistości, a krwawą plamę trzeba przenieść na te karty, bo ją przyniosło życie tutejsze, gdzie zbrodnia wciąż podaje rękę skandalowi.

Sprawa podporucznika Anastay'a, o której wam mówiłem w ostatnim liście, wspominając o morderstwie pani Dellard, osadzoną została w tych dniach przez sąd przysięgłych. Werdykt uznaje winę we wszystkich punktach; zbrodniarz, skazany na śmierć, przyjął ten słuszny wyrok z rezygnacją — i nawet nie chciał się odwołać do łaski, mówiąc, że zasłużył na śmierć i że poniesie ją z cierpliwością i odwagą... Odwaga, jaką okazał w tej ostatecznej chwili, — czemuż się na nią nie zdobył, aby znieść przykrość i zawody życia? Te dziwne sprzeczności są zresztą właściwe naturze ludzkiej i zostaną nigdy nie rozwiązane zagadką.

W chwili kiedy sąd kryminalny ogłasza swój wyrok w Paryżu — na błogiem wybrzeżu morza Śródziemnego w Cannes niejaki p. Deacon, Amerykanin, zabija z rewolweru Francuza, p. Abeille'a, którego podejrzewał — *et pour cause* — o współnictwo w niewierności żony.

P. Deacon miał na zabicie aż trzy lata czasu, — bo od trzech lat już wiedział z kim ma do czynienia... Rodzina i przyjaciele Abeille'a twierdzą, że p. Deacon jednak o zabójstwie nie myślał, dopóki dzisiejsza ofiara jego honoru trzymała na jego usługi zawsze otwartą kasę. Czy to prawda? Sąd dopiero wykaże.

Pani Deacon jest to kobieta lat trzydziestu kilku; ma cztery córki, mieszkające w tej samej willi w Cannes.

P. Deacon, zastawszy p. Abeille'a w swoim mieszkaniu około godziny 10 wieczorem, zabił go trzema wystrzałami z rewolweru. — Sprawa śledcza toczy się w tej chwili w Grasse, gdzie morderca trzymany jest pod strażą. Francuzi, co wszędzie potrafią znaleźć słówko do śmiechu — powiadają, że sposób użyty przez p. Deacona jest zbyt energiczny — *pour une piqûre d'Abeille!*

—r—

LIST Z RZYMU.

(Dokończenie).

Ten uprzywilejowany czas zabaw, który, tak u nas, jak we Francji i u wszystkich innych narodów, poczynając od Nowego Roku, aż do wielkiego postu, karnawałem się zowie, tutaj nazwy tej nie nosi, która dostaje się wyłącznie ostatkom, ale rzecz sama istnieje. Ludzie więcej niż gdzie indziej zjeżdżają się tu do miast, których życie jest silniej rozwinięte, niż u nas zwłaszcza, ale zowie się to sezonem; który zwykle otwiera bal u dworu, zapelniając salony Kwirynału kwiatem tak włoskiego towarzystwa, jak i cudzoziemców, których liczba znaczną zawsze się tu znajduje. Dodać trzeba, że królowa Małgorzata tylko kobiety bez skazy do swego towarzystwa przypuszcza, tu przecież urzędowa pozycja mężczyzny o zaproszeniu stanowi, ale panie te, które, poczuwają się, że mniej chętnie widzianymi-by tu były, zwykle w tym czasie czują się słabemi, lub ich w Rzymie nie bywa. Pierwszy bal tegoroczny był nieco mniej liczny niż zeszłego roku, mniej osób zaproszono, i przybyło ich tylko 1.200, lecz za to cały świat urzędowy znajdował się w komplecie, i wielka sala, oświecona przepyszniemi staroświeckimi kandelabrami i pajakami, jakich nigdzie indziej

należć nie można, wspańiały przedstawiała widok. Pod trzema jej ścianami siedziały na sofach panie w toaletach przepysznych, jaśniejące klejnotami; czwartą zajmował na złocistych krzesłach orszak królowej i małżonki ambasadorów. Poza sofami roił się także szczególniej dystygowany świat meżki i dostojniejsi cudzoziemcy. Bal się rozpoczął tym honorowym kadrylem, w którym etykieta dworska parom tanecznym przewodzi, a jest to jedyny taniec, który królowa Małgorzata tańczy na takich balach.

Drugi bal z rzędu odbył się d. 22 Lutego. Królowa, z natury żywa i wesola, mniej lubi takie przyjęcia urzędowe, którym etykieta przewodniczyć musi, i przekłada nad nie zebrania mniejsze, przytem bywa często w teatrze, bywa zwykłe na wszystkich odczytach, które pod nazwą konferencyi odbywają się we Czwartki podczas zimowego sezonu w obszernej sali dawnego collegium jezuitów, a dziś liceum Ennio Quirino. Obecność królowej ściaga za sobą licznie cały ten świat niewieści, który chce się liczyć do publiczności wyborowej, i można powiedzieć, że królowa Małgorzata wywiera na kobiety swego narodu wpływ bardzo szlachetnie skierowany, który jedna jej też uznanie wszystkich ludzi rozumnych i który zapewni jej na kartach historii uznanie należyte. Lud włoski kocho ją bardzo, ma dla niej cześć niekłamana, na którą zasługuje, bo pragnie szczerze dół ubogiego, oile może, polepszyć i cierpieniu wszelkiemu ulgę przynieść. Zajmuje się nie oficjalnie tylko zakładami dobroczynnymi: zwiedza szpitale, i w tym roku zwłaszcza, który tu, jak wszędzie, jest ciężkim dla ubogiego, — szczególnie nie szczędzi osobistego zajęcia instytucyom pomocy publicznej. Niedawno, w miesiącu przeszłym, zwiedzała, nie powierzchownie tylko, wielki szpital miejski, zwany „della Consolazione“, szczególniej sale dzieci, których tu jest cztery, i zatrzymywała się przy każdym łóżeczku, rozmawiała z każdą biedną dzieciną, których było tam wtedy czterdzieści. Siostra miłosierdzia Oktawia, mająca tu dozor główny, jest bardzo poświęconą dziełu miłosierdzia, które sobie za cel życia obrała z czystej miłości bliźniego, bo pochodzi ona z zamożnej rodziny, a że przytem jest urodziwą i obdarzoną wyższym talentem muzycznym, mogłaby była jasnieć wśród tego świata, który opuściła dla miłości Boga i bliźniego. Królowa Małgorzata, znająca dzieje jej czystego życia, poświęconego enocie miłości bliźniego, ceni ją bardzo. Odwiedziny królowej w szpitalu trwały przeszło godzinę; to też gdy wyszła, tłumy czekającego na ulicy ludu, przyjęły ją gromem oklasków. Nie odpowiadało to formie, etykietce urzędowej, ale lud ten, gorący w uczuciach swych wszystkich, form tych pilnować się nie umie, zwłaszcza, że serce jego było wzruszone silniej, niż kiedy uczuciem, które wzbudził dnia poprzedniego czyn szlachetnego poświęcenia i rycerskiej odwagi króla Humberta. Wybuchnął dnia tego pożar ogromny w samym sercu Rzymu, bo na Placu dei Cerchi, niedaleko starożytnego forum — paliła się fabryka makaronu, a płomienie szerzyły się z ogromną gwałtownością, pożerając zarazem wielkie zapasy maki, której strata w roku nieurodzaju była klęską publiczną. Przytem ogień mógł się przedostać do gazometru, położonego w pobliżu, a wtedy połowa Rzymu, wstrząśniętego wybuchem, jakiby wtedy nastąpił, mogłaby się stać kupą gruzów. Król Humbert dostrzegł łunę pożaru z okna Kwirynału, i w okamgnieniu już go tam nie było. Wybiegł na ulicę tak, jak stał, wskoczył do pierwszej dorózki, którą spotkał, i przybywszy na miejsce nieszczęścia, objął natychmiast kierunek nad strażą ogniową i wojskiem, po które w celu szerszego ratunku posłał. Odważnie rzucił się sam w środek płomieni, kommandując osobiście, osobiście kierując obroną, i mimo prośb otaczających, nie cofnął się z miejsca pożaru aż do czasu, gdy niebezpieczeństwo opanowaniem zostało, odpowiadając gniewnie tym, którzy chcieli go prawie gwałtem ztamtąd odciągnąć, że to właśnie jest w tej chwili jego królewski postępek.

Szczegóło charakterystyczny, że za powrotem do domu, wypiwszy szklankę wody z winem, zaczął się ubierać na bal, dawany dnia tego przez ambasadora niemieckiego; trzeba mu było przejeź-

dzać przez Plac Gilotyny, zniszczonej przecież jeszcze przez Wiktora Emanuela, i lud, wywołany liczenie z domów przez widok pożaru i zgromadzony na otwartych miejscach miasta, rzucił się ku powozowi z okrzykiem: — Niech żyje król Humbert! niech żyje pierwszy żołnierz miłosierdzia... (*Il primo soldato della carità*). Już to lud ten rzymski, mimo ciemnoty większej, niż w pospólstwa innych stolic europejskich, ma w sobie coś wzniosłości uczuć, zaczerpniętej ze starej swej przeszłości, która mu podsuwa w chwilach uniesienia wyrazy, na jakie nie zdobyłby się na razie niejeden sławny mówca. Król Humbert wzruszony też był wielce przydomkiem otrzymanym.

Jest ogólnie w Rzymianach pewien nastrój górny, jest przytem siła gorąca, która im krew rozpała przy każdym porywie żywszym — można powiedzieć, że nie po połowie robić nie mogą. Wykazuje się to i przy zabawie, zwłaszcza przy uroczystościach ostatnich, które wywodzą się od starożytnych bachanalii i siłą tradycyi weszły im niemal w krew. — Czy znasz ty włoskie zapusty? — pyta się nie bez racyi nasz poeta, bo jest tu co widzieć, jest tu nadziwić się czem... Otwiera je *Niedziela Mięsopestna*; zwykle wszystkie okna, wszystkie balkony wzdłuż ulic całego Corso i Via Nazionale zdobią się dnia tego wywieszonymi z nich kobiercami, makatami staremi i są pełne widzów, oczekujących na wjazd inaguracyjny jegomości karnawału — na orszak Pasquina. Na Placu del Popolo wzniesiony był wielki cyrk na wzór starożytnych, z galerią dla publiczności więcej wyborowej, a powyżej ze stopniami dla tłumu. W pobliżu bramy del Popolo wybudowano umyślnie w tym celu wieżę, z której na dany znak wypuszczono 500 gołębi — zwiastunów, że karnawał się rozpoczął — że przybył do Rzymu, co zarazem dała wiedzieć odzywająca się muzyka. Najpierw nadeiła orszak kopijników, czyniąc miejsce dwóm powozom, wiozących szambelanów karnawału, i zaraz poza nimi trzy symboliczne rydwany historyczne, przedstawiające trzy okresy życia ludzkości: starożytny, wieków średnich i nowożytny. Pierwszy przedstawiał porwanie Sabine, drugi sztukę średniowieczną, w osobie sztukmistrza, trzeci powszechną wystawę rzymską, która ma się odbyć w roku 1895 i 1896. Dalej zjawił się olbrzymi rydwan, zaprzężony w sześć koni, wyobrażający starożytną galerią rzymską posrebrzaną i wyłożoną; na sztabie posag Neptuna między parą koni morskich, w środku maszt z żaglem, przez wiatr wzdętym, u sztaby dwie syreny. Wóz ten otaczał hufiec starożytnych legionistów. Takich wozów symbolizujących historią rzymską było przeszło dwadzieścia; do najpyszniejszych a zarazem odznaczających się sztuką należał wóz z wieku XVI, wiozący Wiktorję Colonna, margabinę Pescara, uśmiertelnioną przez przyjaźń, jaką czuł dla niej Michał Anioł — wielkie, gorące czyste uczucie, którego ślady zostawił w sonetach swoich, tak podniosłe pięknych, jak wszystko, co tworzył ten genialny człowiek. Wiktorję przedstawiała przybrana w stroje szesnastego stulecia obecnie najznakomitsza poetka włoska, Rzymianka z rodu: Klelia Bertini w otoczeniu postaci, składających jakoby dwór tej niepolitej kobiecie wielkiej piękności, wielkiej enoty i wielkiego umysłu. Otoczenie jej, możliwie też ucharakteryzowane według pozostałych portretów, tworzyły osobistości wielkiej pamięci: obok Michała Anioła Rafael, Benvenuto Cellini, Paweł Veronese i inni wielcy ludzie, artyści włoscy, dalej papiowie, dworzanie wśród odpowiedniej dekoracji i chorągwie. Wielce też pięknym i uderzającym wyobrażnię był wóz wielkiego rzymskiego trybuna, Cola di Rienzi, w otoczeniu zbrojnych towarzyszy pod obronną basztą, na której bił dzwon, dający wielkie hasło. Do bardzo zajmujących należał wóz, przedstawiający łódź Charona, przewoźnika dusz ludzkich w zaświat, uwożącego teraz w nieśmiertelność Danta i Wergiliusza. Orszak składał się z dyabłów i dyablic, pilnujących tu biednych grzeszników z rozpuszczonymi włosami, które żałośnie puszczały w dal wzrok zalekniiony.

Wieczorem dnia tego wystawiono w teatrze Argentina nową operę młodego, wielkie nadzieje budzącego maestra, Humberta Giordano, neapolitańczyka: „Mala Vita.“ Występowała w niej obecnie już sławna, choć niedawno na deskach teatru uka-

zującą się śpiewaczka, władająca, bardzo pięknym sopranowym głosem, czystym, dźwięcznym, o wysokiej skali: Gemma Bellincioni. Libretto napisał do niej niejaki Mikołaj Despuro, młody, początkujący literat, i żałować trzeba, że wziął treść z brzydkiego, najniezdniejsze strony życia przedstawiającego dramatu, grywanego już w Neapolu „Mala Vita.“ Rzecz jest dziwnie przykra i niemila; że przecież muzyka, o którą tu przedewszystkiem idzie, bardzo piękna, więc powodzenie opery było wielkie, wywoływano śpiewaków, a głównie maestra Giordano, kilkakrotnie i można powiedzieć, że przybyła Włochom niepospolita siła kompozytorska.

Opera sama nie będzie miała przecież w czasie dłuższym takiego powodzenia, jak, na przykład, „Cavalleria rusticana“ Piotra Mascagni. Tu wszystko jest miłe, pociągające, co się do powodzenia rzeczy w części przyczynia; młody maestro, zaledwie dwudziestopięcioletni, stał się tu bardzo popularnym, bardzo lubionym przez publiczność włoską. Zostawiając na stronie kompozytora, który już uszczknął listeczek wawrzynu, człowiek jest bardzo miły, bardzo sympatyczny, jakkolwiek zarzucano mu ariactwo, zanim się dobrał do sławy, która je każe przebaczać. Bardzo żywy, wesół, miły towarzysz — natura w ogóle serdeczna i sympatycznie do siebie pociągająca, miewa on jednak, podobnie jak niegdyś nasz Słowacki, chwilę napadających go smutków, tęsknot bez przyczyny i ztąd współkolledży w konserwatorium medyolańskim nazywali go dziwakiem, a byli tacy, co go posądzali o dumę, profesorowie zaś żalowali, że przez lenistwo, które mu nie dało być regularnie dobrym uczniem, zmarnuje talent posiadany. On przecież umiał go rozwinąć — wielkie zamiłowanie natury, wyciągające go naraz na bory i lasy i odrywające i od ludzi, od prawidłowej nauki, było w nim przecież poetycznością, która, jak widzimy ze skutku, nie zaszkodziła mu. Po ukończeniu studiów opuścił Medyolan, został bowiem dyrektorem trupy operetkowej, jakich mnóstwo jest we Włoszech; umiał być tu, jak twierdzą ci, którzy o tem zbliżka przekonać się mogli, przedsiębiorczym reżyserem i dobrym kapelmistrzem, aż wiadomość o konkursie rozpisany na operę zwróciła jego myśli w inną stronę. Jest to natura gorąca, zdolna entuzjastycznie przejąć się myślą swoją: w parę miesięcy dzieło było gotowe i dorzucił je do stosu innych, nad którymi przecież odniósł tryumf. Było ich siedmdziesiąt trzy — oper kilku-aktowych, a on w pośród ich twórców najmłodszy, najmniej znany, przedstawiał rzecz skromnych rozmiarów, pełną, prostoty, i zwyciężył. Był talent, było uczucie, które zawsze uznanie znajdzie, była świeżość i poetyczność, i to dało mu pierwszeństwo nad innymi, bo pomimo realizmu, jaki zarzucają wiekowi naszemu, przymioty tu posiadane będą zawsze przypadać do gustu ludzkiego. Uśmiech szczęścia nie zmienił, przecież jego prostoty, jego poetyczności cichej. Zasypany kwiatami komplementów, sonetami, zapraszany, ciągnięty na salony, choć i pieniędzy podostatkiem, osiadł sobie cicho na ustroniu, w miasteczku Carignoli, we własnym domku, i swobodny, rozkochany w pieśni, którą śpiewa mu opiekująca się nim muza, zabrał się do tworzenia nowego dzieła. Ma to być opera w trzech aktach, treści równie miłej, sympatycznej, zaczerpniętej z powieści francuskiej Eremana i Chatriana: „Bracia Rantzau.“ Tytuł jest: „L'amico Fritz,“ ludzie się spodziewają, że to będzie rzecz nie mniejszej, a zapewne wyższej niż poprzednie wartości, jako dzieło muzyczne.

Dyrektor wystawy, która w roku przyszłym otwarte będzie w Chicago, Paweł Brian, obejmując Europę w interesie wystawy, był przyjęty w Kwirynałe przez króla i następnie prosił papieża, aby mógł być dopuszczonym do niego, co też uzyskał. Choć jest protestantem, prosił jednak Ojca świętego, aby raczył zalecić wystawę katolikom, lecz papież zażądał, aby wniósł o to prośbę piśmienną, na którą otrzymana odpowiedź ogłoszona być może, zastępując list żądany. Królowa Małgorzata, proszona o udział w wystawie, obiecała posłać tam sławne koronki sabaudzkiego domu, a między nimi franckę, która osłaniała kolebkę Wiktora Emanuela i ztąd jest szacowną dla Włoch

pamiętka, jak wszystko, co ma styczność z drogiem dla Włoch na wieczne czasy *Re Liberatore*.

Jak wiadomo, bardzo wielu Polaków kształciło się w uniwersytecie w Bolonii. W czasie jubileuszu tej włoskiej *Almae Matris*, nazwiska kształcących się tu Polaków zostały spisane, tak przez zajmujących się sprawami tego jubileuszu Włochów, jak i Polaków, ale spisy te były nie dość dokładne. W Bolonii było zwyczajem przyozdabiać ściany sal i kruzganków uniwersyteckiego gmachu nazwiskami i herbami studentów, którzy odznaczali się w czasie studiów odbywanych wyśzością umysłu, czy jakimś czynem szlachetnym. Że przecież niektóre nazwiska polskie zostały pominięte, lub źle odpisane w tych spisach, p. Matias Berson, bawiąc w Bolonii, wszystkie te nazwiska według porządku chronologicznego ze znajomością rzeczy spisał, herbami właściwymi ozdobił, więc też niech was nie dotknie jako zła nowina—wieść, że tak wspomniane kruzganki, jak i sale uniwersytetu bolońskiego ulegną przebudowaniu. Spisy dokonane przez p. Bersona nabierają znaczenia dokumentów historycznych.

A...

Kronika działalności kobiecej.

— Pisma petersburskie donoszą o zamiarze, podniesionym w sferach właściwych, utworzenia szkoły przygotowawczej do obsługi chorych umysłowych, która miałaby osobny oddział kobiet uczennic.

— Petersburgskie towarzystwo opieki nad głuchoniemymi otworzyło pracownię wyłącznie dla kobiet głuchoniemych. Część ich zarobku jest przeznaczona na utrzymanie pracowni.

— Istniejące w Petersburgu Towarzystwo opieki nad nauczycielkami wprowadza w wykonanie ustawę emerytalną, według której emerytura roczna zapewnia 120 rs. nauczycielkom, należącym do stowarzyszenia najmniej lat dwadzieścia pięć.

— Zakład gymnastyki szwedzkiej leczniczej i higienicznej dla kobiet i dzieci p. Heleny Kuczalskiej został otwarty d. 15 Marca przy ulicy Obóznej. Chłopców przyjmuje się tylko do lat dwunastu.

— Na posiedzeniu Towarzystwa opieki nad biednymi matkami, odbytem pod przewodnictwem ks. Mieczysława Woronieckiego, zajęto się sprawą opieki na mieście. Panie, które podjęły się niesienia pomocy potrzebującym, podzieliły się tu pracą; jedne wzięły na siebie szycie potrzebnej bielizny, inne jeszcze dostarczanie jej z własnego materiału. W zakładzie mieściło się w początkach bieżącego miesiąca 16 matek ubogich; brak funduszy nie pozwala na przyjmowanie liczby większej. Towarzystwu brakuje, oprócz płótna, jeszcze cukru, herbaty i kartofli, oraz węgla, co w obecnej porze jest rzeczą bardzo dotkliwą. Zarząd jej powinna ofiarować publiczna.

— We wsi Głogowcu, w Piotrkowskiem, istnieje już rok drugi fabryka plecenia kapeluszy słomkowych, założona przez właścicielkę tej miejscowości. Zaczyna ta pani dokonywać tego z zamiarem dania włóścianom zarobku, którego brakuje po wsiach wśród zimy, sprowadzając z zagranicy zawodowo wykształconego nauczyciela i zaopatrując się w odpowiednie modele. Nauka rozpoczęła się pod jej osobistym dozorem, udzielana najpierw dzieciom. Zeszłego lata pojawiły w niektórych sklepach warszawskich kapelusze głogowskie, nie ustępujące zagranicznym co do wyrobu a znacznie tańsze, bo tamte kosztowały po pięć rubli za sztukę, cena tych była pięć złotych. Oprócz kapeluszy dla pań i dziewczyn, wyrabiają się tam również kapelusze męskie oraz chłopców.

— W *Wieku* podniesioną została przez ks. Ignacego M. kwestya lekarzy wiejskich. Bra-

kuje ich. Ci, którzy są, czują się mało zadowolonymi ze swego położenia: z dochodów, jakie im praktyka na wsi dać może. Zaczyna kapłan zapytuje też: czyby kobiety lekarki, zwłaszcza chorób kobiecych, nie powinny osiadać po wsiach parafialnych, gdzie niezawodnie znalazłyby przyzwoite utrzymanie, spełniając obok tego uczynek dobry? Myśl tę podnosiło już kilkakrotnie pismo nasze przy kwestyi pracy kobiecej. Lekarka wiejska znalazłaby tu niezawodnie utrzymanie przyzwoite, tak we wsiach kościelnych, jak i w osadach. Koszt utrzymania niezmiernie mniejszy, niż w miastach dużych, przy praktyce, którą tu znaleźć łatwiej, niżeli tam, zachęcić-by powinien do tego, co zarazem byłoby uczynkiem dobrym—uczynkiem obywatelskim. *Gazeta Radomska* podniosła również kwestyę porady lekarskiej po wsiach, oraz aptek wiejskich, które we wsiach kościelnych utrzymać-by się mogły, a i tu przychodzi na myśl kobieta farmaceutka. We wspomnianej gazecie zaen patron wiejskiego ludu: *Fr. K.* pisze, że jeżeli lud ten stroni obecnie od lekarza i apteki, to nie koniecznie z powodu ciemnoty, braku wiary w naukę. Chory biedak musi po poradę lekarską na trzęsącym wozie do doktora jechać, musi obok tego podobną peregrynację po bruku miejskim do apteki odbywać, a że nie może przy stopniu oświecenia swego rozumieć znaczenia wiedzy lekarskiej i skutków wywieranych przez lekarstwa, więc woli się leczyć u babi. We Włoszech lud nie jest bynajmniej więcej od naszego oświeconym, a jednak jest rzeczą na dowodach opartą, że leczyć się zaczął jak należy od chwili, gdy pomoc lekarską i aptekę znaleźć mógł w parafiach swoich. Przeważnie kobiety, szczególnie w Neapolitańskiem, są tu lekarzami, aptekarzami i czyżby nie mogło tak być i u nas? Że lud nasz od lekarza oświeconego na korzyść zachora i baby zażegnującej nie stroni, świadczy wyżej wspomniany ludzki jego potrzeb adwokat, *Fr. K.*, przytaczając znany mu fakt. Student medycyny z ostatniego już kursu, bawiąc pod czas wakacji „w zapadłej głuszy, nie mógł się opędzić chorem, przybywającym do niego po poradę o kilka wiorst drogi“. Dodaje on też „że chłop nasz przywykły do prawdziwych lekarzy, byleby oni sami dopomogli mu do tego“. Wspomniany student „młodym był, traktował przyszłe swe powołanie z punktu widzenia 24 lat młodości, umiał też garnąć do siebie chorych i wzbudzać wiarę w wiedzę lekarską“ i czyżby kobieta nie potrafiła tej samej sztuki, opartej na dobroci serca, na uczuciu szlachetnej miłości bliźniego? Od czegożby było uczucie tliłości kobiecej? W tej gałęzi pracy ma ona jeszcze otwartą drogę, — drogę, na której czyniąc dobrze bliźniemu, czyniłaby dobrze i sobie przez zapewniony zarobek w gałęzi pracy pożytecznej i odpowiadającej temu, co kobieta klas wykształconych pragnie znaleźć obok zarobku.

— W bieżącym miesiącu p. Zofia z Benderów Świetlicka, Warszawianka rodem, otrzymała w Bernie po rozprawie z zakresu ginekologii stopień doktora medycyny. Pani ta już wdową będąc poświęcała się studiom medycyny, które zajęły jej wiele lat pracy.

— Anna Bayer, Czeszka z narodowości, Prażanka, otrzymawszy stopień doktora medycyny, została lekarzem powiatowym w Bośni w miejscowości Dolna Tuzla, a to ze względu na kobiety tamtejsze, wyznające religię machometanską, które zatem ze względu na zakaz religijny leczyć się nie mogą u lekarza męczyzny. Instalacja jej odbyła się bardzo uroczysto, powierzono jej urządzenie oddziału kobiecego w szpitalu miejscowym.

— Zmarła w Krakowie Karolina Romerowa, wdowa bezdzietna po pocztmistrzu, ustanowiła za pośrednictwem legatu testamentowego stypendyum w summie 2100 zł. reń. rocznie dla studenta uniwersytetu krakowskiego, słuchacza medycyny, oraz legat na utrzymanie jednego łóżka dla ubogich chorych w szpitalu miejskim.

— Księżna Marcelina Czartoryska, prezydentka krakowskiego Towarzystwa S-go Wincentego à Paulo, chcąc przyjąć w pomoc biedzie i głodowi, trapiącemu uboższą ludność Krakowa, urządziła na jej korzyść tak zwaną „wentę“. Obok te-

go kobiety krakowskie zbierają między sobą składki dla rozdawania zapomóg rodzinom ubogim, obarczonym dziećmi, a także ludziom sędziwym.

— W Wiedniu, na zgromadzeniu kobiet pracujących: nauczycielek, szwaczek, robotnic fabrycznych, wykazano dowodnie, że robotnica, nawet najpracowitsza, walczyć tam musi z nędzą z powodu bardzo ograniczonego zarobku. Zarobek ten dla znacznej ich liczby nie przechodzi dwudziestu centów, co odpowiada złotówce krakowskiej.

— Uczony pedagog wiedeński, d-r Ernesti, oddający się od lat wielu nauczaniu dziewcząt, a obok tego pełniący urząd inspektora miejskich szkół dziewczęcych, wydał broszurę, w której upomina się o staranniejsze, niż dotąd, kształcenie dziewcząt z klas pracujących w kierunku gospodarstwa domowego, wskazując zarazem środki, jakimi zdobyć to można. Dziewczęta z tej warstwy społecznej zostają zwykle robotnicami w wieku bardzo młodym i od tej chwili, przebywając dzień cały poza domem, nie mogą nabyć wiadomości praktycznych, potrzebnych kobietom w rodzinie: nie umieją przygotowywać starannie i ze znajomością rzeczy pożywienia rodziny, kupują też wiele rzeczy już gotowych, za co muszą, nie tylko płacić drożej, lecz obok tego pożywienie to jest mniej zdrowem, mniej posilnem, co najpierw uboży mienie rodzin, następnie podkopuje zdrowie ludu. D-r Ernesti dodaje, że ten brak znajomości gospodarczych kobiety przykłada się w części znacznej do braków, jakie lud cierpi, i jest to jedna z ważniejszych przyczyn, dopomagających do szerzenia socjalizmu. Niech u ogniska domowego stanie kobieta gospodyni i dobra matka rodziny, która przez swoją znajomość rzeczy przysporzy coś wygody życiu męża, pod której pieczą dziecko chować się będzie w uczciwości dobrych obyczajów, w zasadach religijnych, a socjalizm nie przeniknie do przekonania klas robotniczych, z natury swojej nie skłonnych do rezonowań utopijnych.

— Stowarzyszenie kobiet norweskich, z celem zbierania funduszy na obronę kraju, zebrało 450.000 koron. Stowarzyszenie zawiązało się w listopadzie 1889 r., wezwanie wyszło od kółka kobiet, liczącego 88 członków, i wkrótce rozszerzyło się blisko do dwóch tysięcy.

— Komitet budunku wystawy kobiecej w Chicago powierzył wszystkie prace z zakresu rzeźby miss Alicji Rideout z San Francisco. Przedstawiła ona właśnie komitetowi rysunki przyszłych posągów, tworzących trzy grupy: „Cnoty kobiet“, „Kobieta, jako duch cywilizacji“, „Kobieta w historii“. W ostatniej z wymienionych stoi na planie pierwszym młoda dziewczęta, wysokiej, wysmukłej kibiści. W prawej ręce, nieco podniesionej, trzyma wieniec mirtowy — symbol miłości, która w sercu kobiety zapalała się zawsze dla najszlachetniejszego z tych, którzy tworzyli historię. W lewej, nieco w dół spuszonej, waga, symbol sprawiedliwości, którą kobieta chce otrzymać od społeczeństwa, w takiej mierze, jaką dostaje mężczyzna. Wyraz twarzy bardzo spokojny i pogodny, bo historia wie, że wśród starców życia zwycięża zawsze to, co dobre, co wiedzie ludzkość drogą postępu ku prawdzie i sprawiedliwości. Obecnie mis Rideout wykończy biust prezydenta Harrisena. Najpiękniejszym dziełem tej sztukmistrzyni, które zapewniło jej sławę, jest posąg Dziewicy Orleańskiej.

Z bieżącej chwili.

— W r. 1893 odbędzie się w Petersburgu Wystawa Przemysłowa. Program wystawy jest już opracowany i przedstawiony do rozpoznania Tow. Popierania Przemysłu i Handlu.

— W Petersburgu ma powstać Bank eksportowy z celem głównym wywozu zboża za granicę. Kapitał zakładowy Banku ma przedstawiać siedemdziesiąt pięć milionów rubli.

— Komitet budowy kościoła Wszystkich Świętych na Grzybowie postanowił przystąpić w lecie do wykończenia tej świątyni, a to do wzniesienia wień brakujących i otynkowania murów, chociaż fundusz zebrany na ten cel drogą składek nie jest jeszcze dostatecznym. Pozwolenie na zbieranie składek kończy się w miesiącu Sierpniu r. b.

— Założony przed czterema laty Warszawski Dom Sierot po robotnikach przy ulicy Litewskiej, rozwija się szczęśliwie. Pożyteczny ten zakład posiada własny budynek, ofiarowany przez założyciela, barona Lenvala, oraz kapitał, którego procent wystarcza na utrzymanie 15 wychowalców, jednakże przyjęto ich 24, samych sierot, uczęszczających do szkół. W r. z. dochód powstały z procentu od kapitału, ofiarowanego przez założyciela, przedstawiał 3,283 rs., resztę pokryła ofiarość ludzi dobrej woli. Otrzymało: od Maryi z Kronenbergów hr. Zamoyskiej 150 rs., od Wład. Kronenberga 150 rs., od hr. Jakóba Potockiego 150 rs., od Karola Szlenkera 150 rs., od Stefana Spiessa 100 rs., od Maryi Goldszandowej 100 rs., od Teodora Wernera 100 rs., od Fryderyka Roeslera 200 rs., bezimiennie nadesłano 100 rs., kwesta wielkocna przyniosła 515 rs.

— Zamiar urządzenia szkoły ogrodniczej przy ogrodzie pomologicznym został dla braku funduszu czasowo zaniechany. Powstał na to miejsce projekt utworzenia z nowym rokiem szkolnym na wydziale fizyko-matematycznym tutejszego uniwersytetu katedry teorii ogrodnictwa z dopuszczeniem tu, obok studentów, i wolnych słuchaczy, tak do słuchania wykładów teoretycznych, jak i zajęć praktycznych w ogrodzie pomologicznym.

— Wzniesienie bazaru rzemieślniczego wkrótce nastąpi. Potrzebny tu fundusz 10,000 rs. został już prawie w całości otrzymany drogą udziałów.

— Kolej konna do Wilanowa będzie w Kwietniu otwarta. Oprócz tego powstał zamiar przedłużenia linii do Jeziorny i utworzeniu nowego toru od Marcelina do Wierzbna, dla wygody letnich mieszkańców tych miejscowości. Istnieje też myśl wzniesienia w Wierzbnie nowego zakładu wodoleczniczego.

— Piąty z kolei odczyt na dochód Osad Rolnych wygłoszony został d. 22 w sali ratuszowej przez Dra Romana Jasińskiego „O konieczności pielęgnowania sił fizycznych.“

— W salonie spółki artystów na Nowym Świecie, zgromadzono przeszło sto ośmdziesiąt obrazów zmarłego malarza, Felixa Brzozowskiego. Są to po większej części rzeczy cenne i godne widzenia, nie stanowi to przecież całej spuścizny prac tego artysty i zarząd spółki Salonu stara się zbiór ten uzupełnić, o ile to będzie można. Dochód z biletów wstępu przez cały czas wystawy przeznaczony jest na rzecz rodziny zmarłego, której pomoc ta się należy, gdyż zmarły nie zostawił żadnego majątku. Wystawa składa się przeważnie z obrazów, będących własnością prywatną, ale i rodzina posiada ich liczbę pewną, a te są do zbycia: same rzeczy wdzienne, pełne poezji i uroku swojskiej przyrody, którą zmarły artysta umiał w jej rodzimej piękności odczuwać. Ceny są umiarkowane, nawet niskie.

— Zmarły niedawno malarz, ś. p. Alexander Jabłoński, był najstarszym z żyjących artystów naszych pędzla. Urodzony w 1810 roku, potem oddał się sztuce, poświęcając się głównie malarstwu religijnemu, które uprawiał z zamiłowaniem, odznaczając się silnym poczuciem kolorytu. Wiele dzieł jego znajduje się po kościołach prowincjonalnych. Ostatnim obrazem, który wystawił w Towarzystwie Sztuk Pięknych w 1881 r., był Chrystus w Ogrójcu.

— Projekt założenia w mieście naszym muzeum rzemieślniczego znalazł poparcie. Odbyło się już w sali Towarzystwa Popierania Przemysłu zebranie ogólne osób, pragnących rzecz tę przywieść do skutku. Kapitał potrzebny jest już zapewnionym.

— Warszawska stacya higieniczna zajęła się rozbiorem kawy, podawanej w cukierniach i kawiarniach. Ze względu na zdrowie mieszkańców naszego miasta rozbiory takie artykułów spożywczych są bardzo pożyteczne. Koszt utrzymania stacyi miejskiej do badania mikroskopowego i chemicznego produktów spożywczych oznaczono na 1.455 rs.

— Schronienie dla nieuleczalnych imienia Felixa Sobańskiego, skończyło z d. 1-go b. r. ośmnaście lat istnienia, mieszcząc w zakładzie swoim 38 kobiet i 28 mężczyzn. W ciągu roku przyjęto tu 9 kobiet i 17 mężczyzn, razem korzystało z pobytu i utrzymania w Schronieniu 118 osób, co znaczy, że dziennie utrzymywano tam osób 90. Fundusze Schronienia wraz z remanentem z r. 1890 wynosiły 10.358 rs., z których wydano na utrzymanie chorych i łączące się z tem potrzeby 10.310 rs., pozostaje zatem 48 rs. i coś drobnego, zatem znacznie mniej, niż w roku przeszłym; Zarząd Schronienia zwraca się do miłosierdzia publicznego. Zakład udziela przytulku tym chorym ubogim nieuleczalnym, których nie przyjmuje szpital żaden.

— Przytulki noclegowe: jeden na Pradze, drugi przy ulicy Pawiej, tak były przepełnione w czasie mrozów, że podniesiony został projekt urządzenia przez miasto trzech przytułków, w okolicach ulicy Chłodnej i Żelaznej, mogących dać schronienie 1.000 bezdomnych biedaków.

— Fabryki zmniejszają swoją produkcję, bądź to przez ograniczenie godzin pracy, bądź też przez zaniechanie jej niektórych gałęzi. W Częstochowie musiano się uciec do tego smutnego środka, aby nie nastąpiło nadmierne nagromadzenie się zapasu, któremu brakuje zbytu.

— Według wykazów miejskich przybyło do Częstochowy od 13 Maja do 13 Października ubiegłego roku 361.132 pielgrzymów. Jest to mniej, niżeli w roku poprzednim, o 21.130 osób. W roku 1890 było tam pielgrzymów, dążących na Jasną Górę: w Maju 37.366, w Czerwcu 12.460, w Lipcu 25.050, w Sierpniu 205.388, we Wrześniu i pierwszym tygodniu Października 60.796 osób.

— Czesi zamieszkali u nas pragną obchodzić uroczystości 300-to-letni jubileusz uczonego pedagoga swego i humanisty, Jana Amosa Komeńskiego, inaczej Kommeniusza. W dniu 26 bieżącego miesiąca ma się odbyć w sali jednego z tutejszych hoteli odczyt o działalności i zasługach społecznych tego męża nauki. Wyszła też świeżo napisana przez jednego z pedagogów naszych, Ant. Bądkiewicza, broszura zawierająca życiorys czeskiego pedagoga, który był wielkim reformatorem nauczania i wychowywania. To, co on jako podstawy kształcenia młodzieży już w XVII w., podał, w obecnym dopiero stuleciu zrozumianem i w życie wprowadzonym zostało. Przypomina też autor, że Kommeniusz, nieznajdujący uznania wśród ziomków, przesiedlił się do nas, osiadł w Lesznie, gdzie licznie gromadzili się w koło niego słuchacze jego nauki, nie tylko z Czech do mistrza po światło myśli jego przybywający. Po Czechach zatem jest on nam najbliższy.

— Z dniem 15 Marca rozpoczęło się przyjmowanie utworów na powszechną wystawę muzyczną i teatralną w Wiedniu. Będzie ona otwarta w dniu 19 Maja.

— Budowa nowego Teatru w Krakowie zostanie ukończoną w Grudniu. Roboty kamieniarsko-rzeźbiarskie już się kończą i rozpoczyna się wewnętrzna wyprawa ścian, oraz układanie posadzek. Cały teatr będzie oświetlony elektrycznie, dziewięćset płomieni żarowych i cztery lampy łukowe oświetlać go mają wewnątrz.

— Na posiedzeniu krakowskiej rady miejskiej dyrektor budownictwa, Niedziałkowski, wykazał na podstawie dat, że elektryczny telegraf pożarny najnowszego, ulepszanego systemu, zaprowadzony w mieście od lat kilku, wpłynął bardzo na zmniejszenie się pożarów. Jednym z najważniejszych tego warunków jest to, że znajdują się w różnych punktach miasta nazewnątrz ulic aparata alarmowe, których w razie wypadku może użyć każdy przechodzień, dając znać o pożarze. Publiczność coraz więcej czuje się obowiązana do sygnalizowania w razie ujrzenia ognia i uważa to sobie za posługę obywatelską. Liczba katastrof pożarowych tak się zmniejsza stopniowo od czasu zaprowadzenia telegrafów ogniowych rok za rokiem, że kiedy w r. 1880 było w mieście klęsk pożaru 36, w 1890 r. już ich jest 14, w r. 1891—12.

— D-r Alexander Czołowski, zarządzający miejskim archiwum Lwowa wydał tom pierwszy: „Pomników dziejowych Lwowa“. Tom ten obejmuje najstarszą księgę z lat 1382 do 1389 r., jedyną z XIV wieku. Oryginał księgi przedstawia rękopis *in folio* o 182 stronicach, oprawny w półskórek, wcale dohrze zachowany, wyjawsz pierwszy i ostatniej karty. Można odróżnić w tej księdze pięciu pisarzy; każdy rok nowy oznaczali d. 23 Lutego, gdyż w dniu tym odbywały się wybory do rady.

— Prezesem Lwowskiego Koła Literacko-Artystycznego został wybrany historyk Kubala, vice-prezesem — hr. Henryk Skarbek.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Arkusz 8-my powieści pod tytułem: **Omyłka**, przez R. Norrisa. Przekład z angielskiego.

Arkusz 1-szy powieści pod tytułem **Na nowym lądzie**, przez Perfalla. Przekład z niemieckiego.

Pierwsza Szkoła Koronkarstwa

NAUKA BEZPŁATNA.

Zapis odbywa się w Poniedziałki i Środy od godziny 12 do 1 z południa. Desenie i przybory do wyrobu koronek nabyć można w Szkole Krakowskie-Przedmieście Nr 42, mieszkania 3.

TREŚĆ: Kwiat paproci, przez Selima (wiersz). — Dzieci w Szwecyi, przez Helenę Kuczalską. — Pierzochliwy ptak powieść, przez Kazimierza Glińskiego (dalszy ciąg). — Nowiny paryżkie. — List z Rzymu (dokończenie). — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili. — Ogłoszenia.

Dodatek obejmuje: Arkusz 8-my powieści, pod tytułem: **Omyłka** przez R. Norrisa. Przełożona z angielskiego. — Arkusz 1-szy powieści pod tytułem **Na nowym lądzie** przez Perfalla. Przekład niemieckiego. Przegląd mód. 25 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr. 66.

Дозволено Цензурою. — Багмана, 11 Магта 1892 р.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Poduszka (ścieg płaski i „en relief.“

Rycina Nr 31 w Bl. Nr 10 (do ryciny Nr 32). Deseń odw. str. tabl. Nr X, fig. 54.

Poduszka podłużna 60 c. dług. a 36 c. szer., złożona z szlaku haftowanego pomiędzy dwoma częściami pluszu w kolorze ciemnym odpowiednim do umeblovania pokoju. Tylina część również z pluszu a otoczenie z jedwabnego sznurka układanego w pukle po rogach. Haft wykonać na tkaninie „Colbert“ podług fig. 54, na której oznaczone są kolory i jednocześnie ciemne kolory oznaczone liczbą 1. Uwzględnić należy wielkość oryginalną ryc. Nr 32, wykonaną filozelą, złotym sznurkiem i sznelą. Stylowe wielkie kwiaty podkładać bawełną i kordonkiem popielatym, małe zaś kwiaty wykonać jedwabiem różowym w stylu „renaissance“ i w tym celu należy podkład z bawełny przetykać gęstymi rzędami odpowiedniego jedwabiu i przez te nitki przewlekać w odstępach $\frac{1}{2}$ cen. szer. pojedyncze nitki, które mocować ściąganiem obrzucanym jedwabiem tegoż koloru. Rzucane liście i figury otaczać złotym sznureczkiem. Tym samym sposobem, jak kwiaty, wykonać płaskie gałązkowe fig., oraz wąskie łuki brzegu zewnętrznego jedwabiem brązowym. W środkowej części tła wykonać ukośne figury kwadratowe jedwabiem

koloru rezedowego a otoczenie złotą nitką i jedwabiem brązowym, środki zaś rzucane bez symetrii jedwabiem jasno-poziołkowego koloru. Tło zębów zewnętrznego brzegu szlaku, wykonać jak wskazuje rycina złotym sznurkiem a brzeg wewnętrzny wypełnić sznelą ciemno-brązowego koloru. Ściegi gałązkowe wykonać jedwabiem złotym, przyczem tło niepotrzebne należy wyciąć i wykończyć poduszką podług ryciny.

Taboret.

Rycina Nr 16—19 w Bl. Nr 11.

Taboret pokryty haftem w kształcie szlaku, którego brzegi podłużne wykończone pluszem a brzegi poprzeczne frendzlą pasmanteryjną. Szlaki wykonane na pasach 7 cent. szer. z tkaniny wełnianej „Kuba“, z brzegiem przetykanym złotem w kolorach: terrakota, pawiowym i żółtawym, łączonych następnie z sobą jak wskazuje rycina Nr 18. Rycina Nr 16 podaje wzór szlaku środkowego na tkaninie żółtawej. Ryc. Nr 17 i 19 po jednej części haftu na szlak koloru pawiego i terrakota. Ukośne rzędy kwadratów fig. 16 wykonać jedwabiem koloru ciemno-terrakota, a wewnętrzne ście-

gi jedwabiem żółtawym i złotym sznurkiem. Otaczające rzędy jasno-niebieskim, następne rzędy żółtawym a małe pomiędzy temiż figury jedwabiem koloru jasno-terrakota i złotym sznurkiem ściąganiem płaskim. Część środkowa w zęby następnych figur jedwabiem oliwkowym. Rzędy wewnętrzne jedwabiem niebieskim a figury w środku tychże ciemnym i jasnym jedwabiem terrakota, oraz złotym sznurkiem. Tym samym sposobem wykonać ryc. Nr 17 i 19.

Serwetka (haft duński).

Rycina Nr 21, 22 i 24 w Bl. Nr 11.

Serwetka 65 cent. w kwadrat, wykonana na średniej grubości lnianej tkaninie. Rycina Nr 24 przedstawia figurę narożną. Kontury zewnętrzne figur przezroczystych, oraz muszki i małe figury podłużne, oraz szlak otoczony dzierganymi ząbkami przenieść na tkaninę i wykonać haft białymi błyszczącymi niemi. W fig. narożnika wyciąć tło wzdłuż otoczenia dzierganego. Następnie wykonać fig. 24 ściąganiem dzierganym, ale przedtem wykonać krzyżujące się przecięki figur środkowych, przeciągając nitkę tam i napowrót najmniej 6 razy a następnie wykończyć ściąganiem cerowanym. Naturalną wielkość szlaku przedstawia ryc. Nr 21, którą należy odpowiednio wykonać.

Serwetka (robota wiązana).

Rycina Nr 23 w Bl. Nr 11.

Część środkowa serwetki, wykonana sposobem wiązanim bawełną „macramé“ koloru popielato-zielonego i „mais“. Otoczenie stanowi brzeg z pluszu koloru popielato-zielonego mniej więcej 14 c. szer. Podszewka z atlasu zielonego. Rozpocząć robotę od środka 4-ma końcami bawełny popielatej mniej 2 metry długości i wiadomym sposobem robót wiązanych wykonać całość podług wzoru ryc. Nr 23.

Serwetka (ścieg krzyżowy i przezroczysty).

Rycina Nr 12, 13 i 5.

Serwetka 68 cent. w kwadrat, wykonana z tkaniny kongres koloru żółtawego, otoczona obrąbkem $4\frac{1}{2}$ c. szer. z mereszka. Szlaczek „à jour“, na co należy wyciągać po 3 nitki tkaniny wzdłuż a przyjmować na poprzek po 3 nitki. Po wykonaniu szlaczka „à jour“ wykonać odpowiednio do ryc. Nr. 5 i 13, dwa rzędy ząbków, filozelą granatową i białą, oraz nitką złotą (do prania) ściąganiem krzyżowym. Następnie deseń rzucany w równych odstępach, na co trzeba najprzód odliczyć ściegi, ażeby rzucik wypadał akuracie.

Drobiazgi z filcu drukowanego kolorowo ozdobione haftem.

Rycina Nr 15—18.

Rozmaite drobiazgi z filcu w deseń drukowany kolorowo, który następnie obwodzić należy filozelą ściąganiem gałązkowym lub łańcuszkowym, oraz złotą nitką. Robota prędką i łatwą.



Nr 1. Suknia z materiału krepowanego i materyi mieniającej jedwabnej ozdobiona szlakiem haftowanym (do ryc. Nr 3). Op. pierw. str. tabl.)

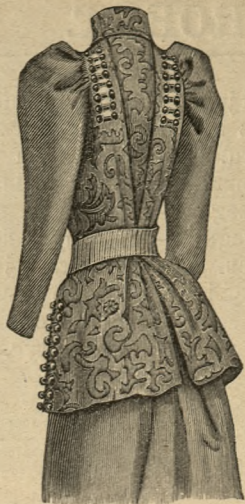
Nr 2. Suknia z materiału wełnianego (krój „tailleur“) do ryc. Nr 25. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—9).

Nr 3. Suknia z materiału krepowanego i materyi mieniającej jedwabnej ozdobiona szlakiem haftowanym (do ryc. Nr 1). Opis pierw. str. tabl.)

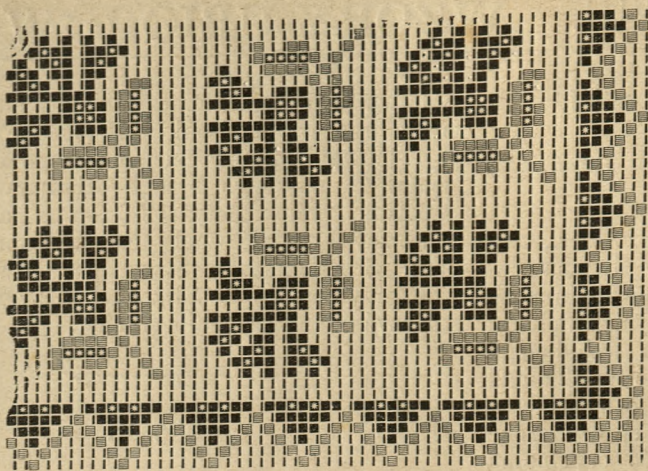
Kwadrat na serwetkę wykonany szydełkiem.

Rycina Nr 20.

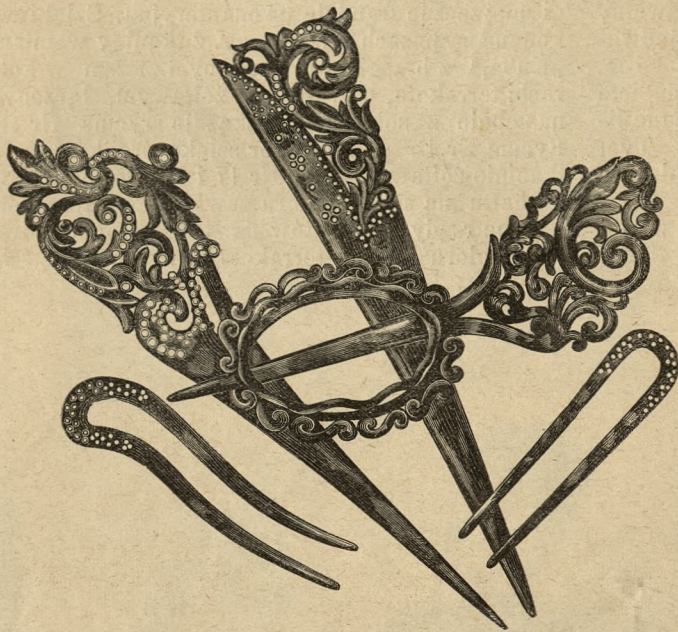
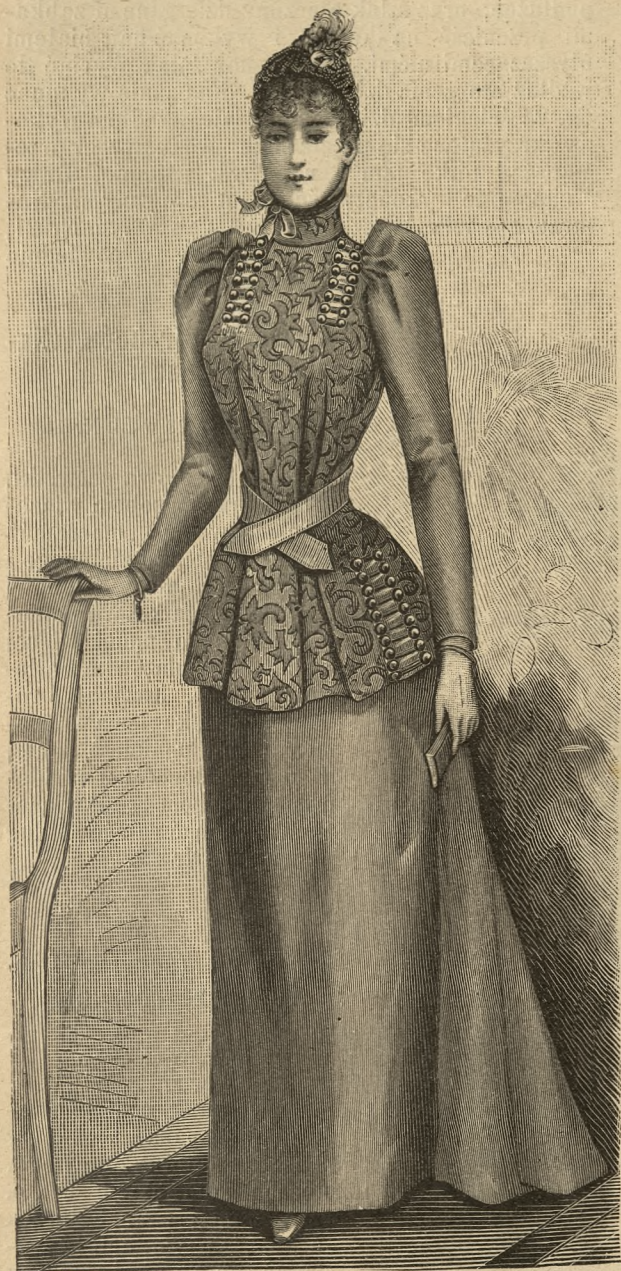
Stosownie do wielkości serwetki wykonać pewną ilość kwadratów podług ryc. Nr 20 i takowe następnie łączyć z sobą. Użyć krepowanej bawełny koloru żółtawego. Rozpocząć od środkowej gwiazdki na założeniu 10 powietrznych oczek, połączonych w kółko 1 oczkiem łańcuszkowym. — 1 kolej; 16 ścis. ocz. w kółko i 1 ścis. łańcusz. oczko w 1 z tychże, — 2 kolej: * Na figurę liściową 21 pow. ocz., na tych powracając następnę 5 ocz. opuść. 1 słup.



Nr 4. Tylna część sukni Nr 11.



Nr 5. Deseń na serwetkę Nr 15.
■ pawiowy, ■ kremowy, ■ żółty, 'tło.



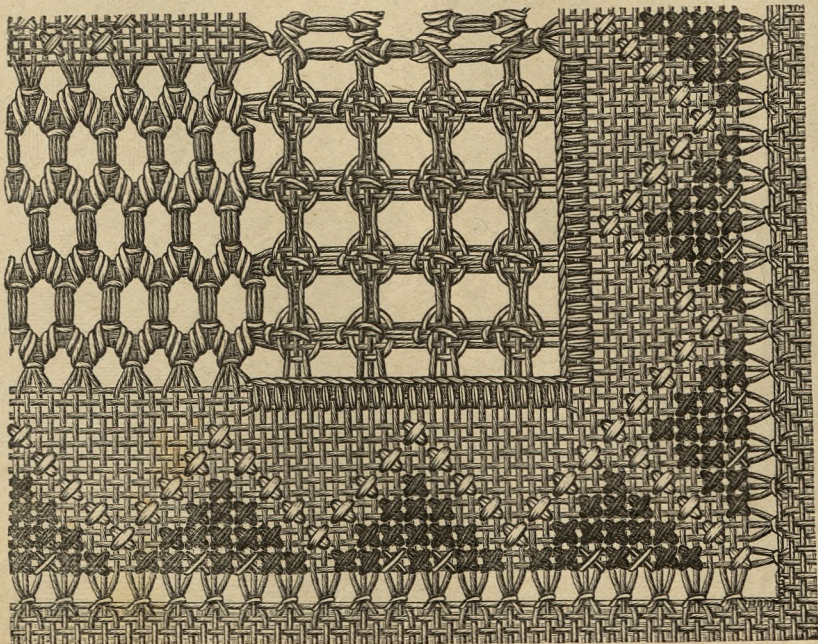
Nr 6—10. Strzały i szpilki szyldkretowe do włosów ozdobione złotem.



Nr 12. Serwetka. Ścieg krzyżowy i przezroczysty (do ryc. Nr 5 i 13).

Nr 11. Suknia z kaszmiru ze stanikiem haftowanym (do ryciny Nr 4). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr V, fig. 30—39.

w następne ocz., dwa razy naprzemian: 1 pow. ocz., 1 podwójny słup. w 2 z rzędu ocz., następnie 3 razy naprzemian: 1 pow. ocz., 1 słup. w drugie z rzędu ocz., poczem pół-słupek i 4 ścis. ocz. w następne 5 ocz., 1 ścis. łańc. ocz. w następ. ścis. ocz. poprzedniej kolei. Robotę odwrócić i powracając na poprzednich ocz. ciągle 1 ścis. ocz. w przednią żyłkę każdego ocz., ale w środk. 5 opuszczo. ocz. wykonać 3 ścis. ocz. i 1 ścis. łańc. ocz. w następ. ścis. ocz. poprzedniej kolei. Robotę odwrócić, 41 ścis. ocz. w tylne



Nr 13. Część szlaku z narożnikiem do serwetki Nr 12 (wielkość oryginału).

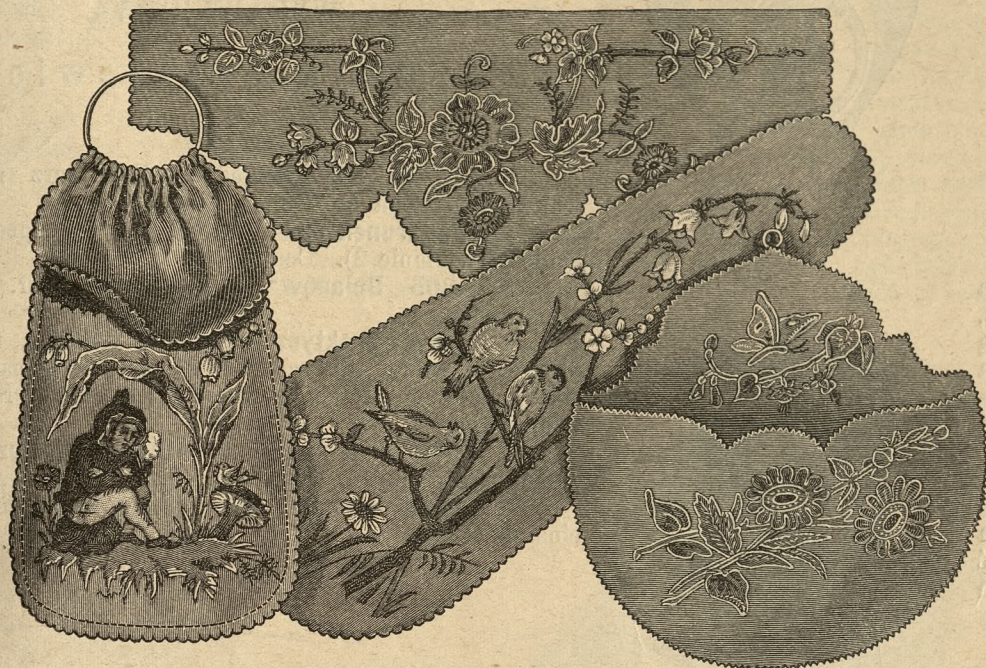
żyłki poprzednich 39 ścis. oczek a mianowicie: 3 ścis. ocz. w środkowe ocz. a 9, 10, 13 i 14, 17 i 18, 20 i 21, 23 i 24, 27 i 28, 31 i 32 przedzielać pikotem. Na każdy pikot wykonać 4 pow. ocz. i 1 ścis. ocz., które przerobić razem z następn. ścis. ocz., potem 1 ścis. łańc. ocz. w następ. ścis. ocz. poprzedniej kolei, 9 pow. ocz., 5 pik., na każdy pik. 5 pow. ocz. i 1 ścis. ocz. w 1 z tychże, ale środkowe ocz. pik. przyczepić do odpowiedniego ocz. poprzedniej liściowej figury, potem 1 słup. i 8 ścis. ocz. w poprzednie 9 pow. ocz., 2 ścis. łańc. ocz. w następ. 2 ścis. ocz. poprzedniej kolei. Od * powtórzyć jeszcze 3 razy, ale przy każdym powtórz. 1 pik. liściowej fig. przyczep. do poprzedn., a oprócz tego ostatni pik. w 3 powtórzeniu do 1 fig. przyczepić, na koniec 1 ścis. łańc. ocz. w następne ścis. ocz. 1 fig. Brzeg ścisły kwadratu rozpocząć od rogu na założeniu 9 pow. ocz., na tychże powracając, następ. 3 ocz. opuścić, 6 słup. w następ. 6 ocz., robotę odwrócić; 10 pow. ocz., 7 ścis. ocz. w 9 i 3 z tychże następ. słup. opuścić, 6 słup. w tylne żyłki następ. 6 ocz., robotę odwrócić, 8 pow. ocz., następ. 3 ocz. opuścić, 18 słup. w tylne żyłki następ. 18 ocz., robotę odwrócić; 3 pow. ocz., następne ocz. opuścić, 18 słup. w tylne żyłki następ. 18 oczek, * robotę odwrócić, 8 pow. ocz., na tychże powracając następ. 3 ocz.



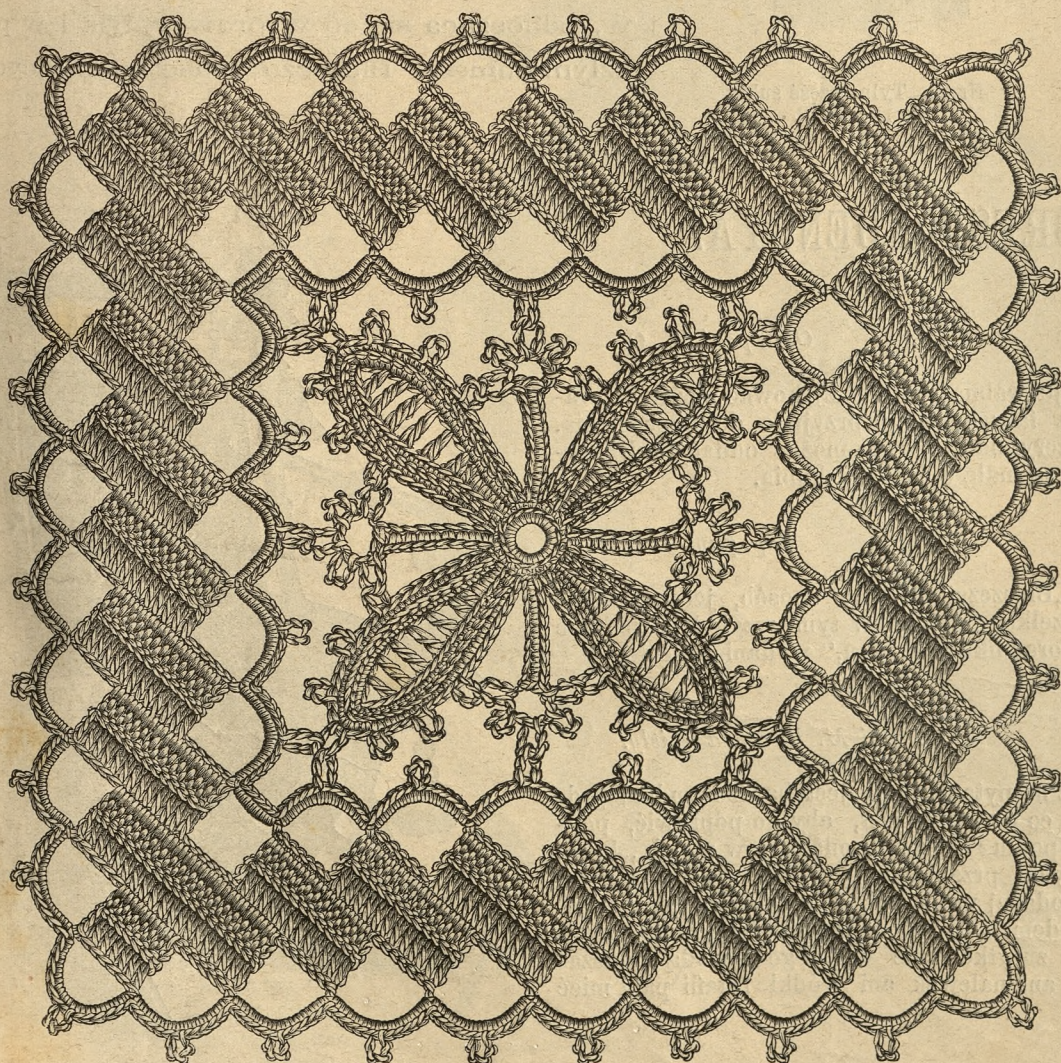
Nr 14. Suknia krojem „princesse“ ozdobiona pasmanterią. (Opis pierw. str. tabl.).

opuścić, 12 słup. w tylne żyłki następ. 12 oczek; robotę odwrócić; 3 pow. ocz., następ. ocz. opuścić. 12 słup. w tylne żyłki następ. 12 ocz., od * 6 razy jeszcze powtórzyć, ale przy ostatnim powtórzeniu przed ostatniemi 12 sł. zamiast 3 pow. o. 10 p. o. i 7 ścis. łańc. ocz. w 9 ocz. do 3 ocz. wykonywać, po ostatniem powtórzeniu + robotę odwrócić, następ. ocz. opuścić, 6 ścis. łańc. ocz. w następ. 6 oczek ostatnich 12 słup., 3 pow. ocz., 12 słup. w tylne żyłki następ. 12 ocz. Robotę odwrócić; 10 pow. ocz., 7 ścis. łańc. ocz. w 9 do 3 ocz. z tychże, potem następ. słup. opuścić, 12 słup. w tylne żyłki następ. 12 ocz., od + 5 razy powtórzyć, ale przy ostat. powtórzeniu, zamiast 10 pow. ocz., wykonać tylko 3 pow. ocz. i 12 słup. w następ. 12 ocz., poczem pozostawić nitkę nie tkniętą. Nowo-założoną nitką wykonać 6 pow. ocz., 7 ścis. łańc. ocz. w pierwsze 7 ostatnich 18 słup., wykonanych przy rozpoczęciu ścisłego szlaku. Robotę odwrócić, 3 pow. ocz., następ. ścis. łańc. ocz. opuścić, 6 słup. w następ. 6 ścis. łańc. ocz., 6 słup. w następ. 6 pow. ocz., 10 pow. ocz., 7 ścis. łańc. ocz. w 9 do 3

ocz. z tychże, następ. słup. opuścić, 12 słup. w tylne żył. następ. 12 ocz., od + do + sześć razy powtórzyć, ale przy ostatnim zamiast 10 pow. ocz., tylko 3 pow. ocz. wykonać; potem *, 8 pow. ocz. Następne 3 ocz. opuścić, 12 słup. w tylne żył. następ. 12 ocz. Robotę odwrócić, 3 pow. oczka, następ. słup. opuścić, 12 słup. w tyl. żył. następ. 12 ocz., od ostatniej * 5 razy powtórzyć, poczem 5 pow. o., 1 ścis. łańc. ocz. w 3 przed ostatnimi 12 słupkami, wykonanymi poprzednią nitką. Nitkę umocować, robotę odwrócić i rozpocząć pierwszą pozostawioną nitką, następ. słup. opuścić, 6 ścis. łańc. ocz. w następ. 6 ocz., 3 pow. ocz., 18 słup. w tylne żył. następ. 18 ocz. Robotę odwrócić, 3 pow. ocz., następ. ocz. opuścić, 18 słup. w tylne żył. następ. 18 ocz. Robotę odwrócić, następ. ocz. opuścić, 6 ścis. łańc. ocz. w następ. 6 ocz., 3 pow. ocz., 6 słup. w tylne żył. następ. 6 ocz. Robotę odwrócić, 3 pow. ocz., następ. ocz. opuścić, 6 słup. w tylne żyłki następnych 6 oczek. Potem otoczyć kwadrat rzędem łuków z pikotami, jak wskazuje rycina.



Nr 15—18. Rozmaite drobiazgi z filcu drukowanego kolorowo ozdobione haftem.



Nr 20. Kwadrat do serwetki (robota szydełkowa).



Nr 19. Suknia z materiału jedwabnego ozdobiona wstążką. (Opis odwr. str. tabl.)

Krzesło ozdobione haftem.

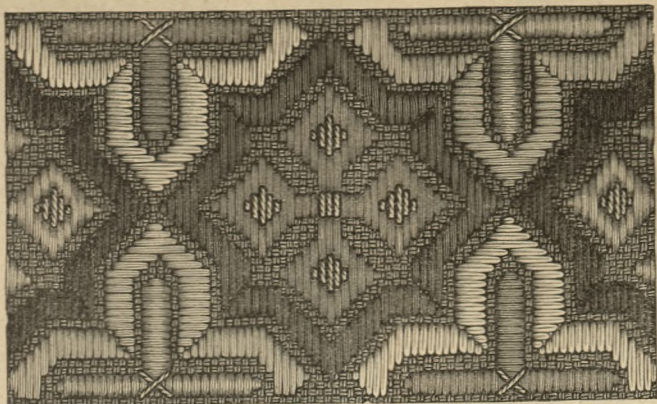
Rycina Nr 21, 24 i 26.

Krzesło z bambusowej trzciny, łączone nikłowemi skówkami, pokryte 3-ma szlakami połączonemi z sobą i zakończone po bokach pluszem. Środkowy szlak 11 cent. na tkaninie koloru terrakota wykonać podług ryc. Nr 24 (podanej bez brzegu przezroczystego) ściegiem płaskim włóczką hamburską koloru oliwkowego i niebieskiego i różnokolorową filozelą, oraz złotą nitką. Gwiazdy włóczką niebieską i jedwabiem koloru „vieil-or.“ Dotykając tychże zęby jasno-niebieskim jedwabiem i złotą nitką, pręci ki żółtym jedwabiem, zęby pomiędzy gwiazdami oliwkowym kolorem. Kwadraty ukośne jasnym terrakta, środkowe ściegi jasno-niebieskim jedwabiem. Szlaki po dwóch bokach wykonać podług ryc. Nr 21 na tkaninie koloru niebieskiego 10½ cent. szer. z brzegiem przetykanym złotem. Otoczenie figur środkowych naprzemiany włóczką oliwkową i ciemną terrakota, środkowe części naprzemiany jedwabiem koloru terrakota i jasno-niebieskim, oraz złotą nitką. Figury pół-krzyżowe naprzemian tegoż koloru jedwabiami, otoczenie tychże jedwabiem „vieil-or“ i żółtawym. Po wykończeniu szlaków połączyć po odwrotnej stronie i otoczyć wzdłuż odpowiedniej szerokości do wielkości krzesła szlakiem pluszowym koloru terrakota, następnie sznurkiem z włóczki i ze złotych nici i umocować do krzesła goździkami. Część przeznaczoną do siedzenia podszycić ałasem koloru terrakota i wykończyć podług ryc. sznurem i kwastami.

Postumencik z koszyczkiem do robót.

Rycina Nr 23. (Deseń odwr. str. tabl. Nr X, fig. 56).

Postument z trzciny, dolna pułeczka pokryta pluszem koloru miedzianego, koszyczek odpowiedniego kształtu do



Nr 21. Część haftu na krzesło Nr 26 (zmniejszony).

wstawiania, przybrany pluszem tegoż koloru i haftem podług figury 56, wykonanym na tkaninie jedwabnej złotym sznurkiem i kordonkiem koloru białego, oraz cienką złotą nitką. Kokardy z wstążki tegoż koloru wykończają całość.

Przepisy gospodarskie.

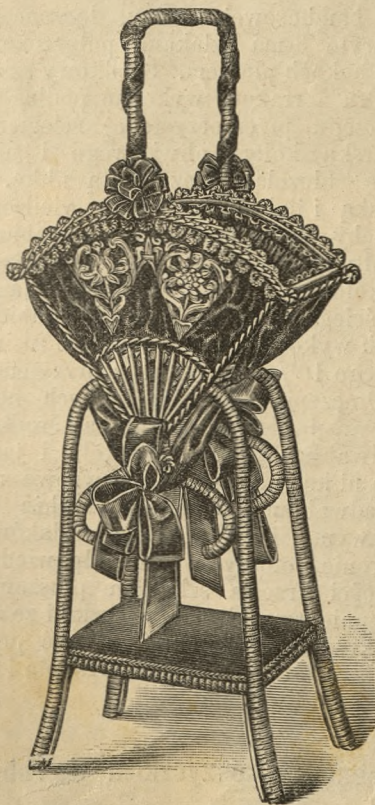
Paszteciki postne.

Na 10 pasztecików ugotować 5 średnich grzybów na miękko i usiekać, pół śledzia ulika usiekać bez moczenia, włożyć w rondel z łyżką młodego masła, wsypać dobrą garść tartej bułki i odrobinę pieprzu, zasmażyć, mieszając na ogniu i wymieszać z grzybami. Usmażyć zwykłym sposobem naleśniki z dwóch jaj, kwaterki mleka i półkwatka mąki. Z tych naleśników wykrawać dużą szklanką okrągłe plasterki, a że z 2-ech jaj powinno być 10 naleśników, z każdego więc dwa plasterki, na jeden nakładać farsz a drugim przykryć, zlepić mocno, umoczyć w rozbitym jajku, a można tylko w ubitym białku posypać bułką przesianą i obsmażyć na klarowanym maśle. Okrawki z naleśników w części, bo wszystkie byłoby za dużo, posiekać i dołożyć do farszu.

L. C.

Obiad na Niedzielę.

1. Barszcz czysty z uszkami.
2. Szynka na gorąco.
3. Kalafior z szodonowym sosem.
4. Jarzabki „à la Heurteux.”
5. Krem z zapachem pomarańczowym.

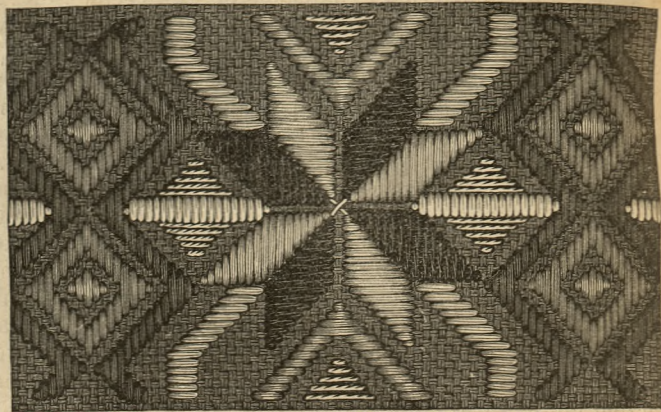


Nr 23. Postumencik z koszykiem na roboty.
(Deseń odwr. str. tabl. Nr X, fig. 56).

DOŚWIADCZENIE PRAKTYCZNE.

Sukna na stolikach od kart zanieczyszczone kredą, herbatą i likierami czyszcza się doskonale szczoteczką podłużną w cztery rzędy od p. Feista, (fabryka szczotek, Senatorska Nr 24), umoczoną w ciepłej ale nie gorącej wodzie, wycierać ciagle, maczając i zostawić stolik otwarty aż do uschnięcia.

L. C.



Nr 24. Część haftu na krzesło Nr 26 (zmniejszony).



Nr 22. Monogram.



Nr 25. Tylna część sukni do ryc. Nr 2.

OGŁOSZENIA.

WYDAWNICTWA

L. Ćwierczakiewicz.

1. **Kolęda dla gospodyń.** Kalendarz na rok 1892 (rok 17-ty). Cena kop. 50.
2. **Podarunek ślubny** czyli „Kurs gospodarstwa dla kobiet” (wydanie 2). Cena rs. 1.
3. **„365 Obiadów”** (wydanie 16) rsr. 1 kop. 80 w oprawie.
4. **Jedynie praktyczne przepisy** konfitur, marynat, wędlin, ciast, wódek, likierów, za które autorka nagrodzoną została medalem złotym (wydanie 14). Cena rs. 1 kop. 30 w oprawie.
5. **„Poradnik porządku i różnych higienicznych wiadomości”** (wydanie 3). Cena kop. 70.
6. **Nauka kwiatów bez pomocy nauczyciela** z 239 rycinami. Cena rs. 1.

U W A G A.

Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, odnosząca się do wzorów w tym i w przyszłym numerze *Bluszczu* podać się mających.

KORESPONDENCYA.

Odp. pani W. O.

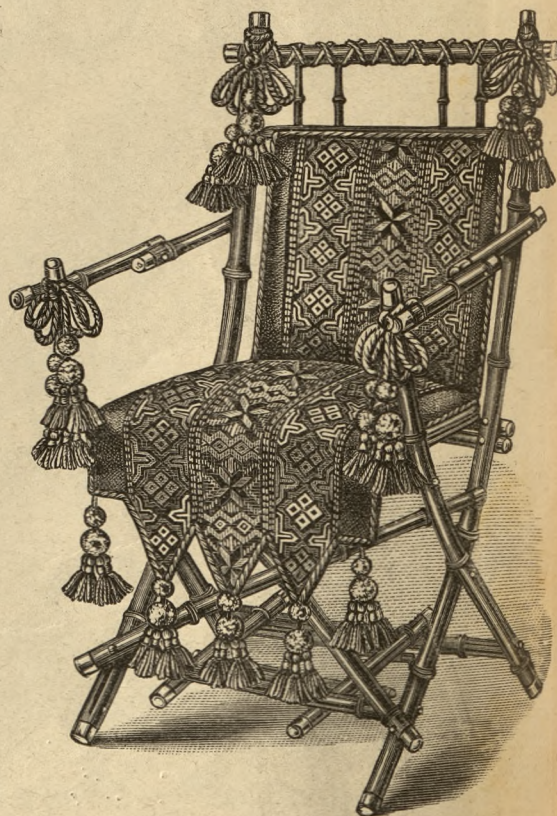
Skubankę jedwabną tylko użytkować można na wate, którą każda fabryka waty przyjmie do przerobienia. Kawalki zaś materyi na skubankę można oddać do Dobroczynności, gdzie za małą opłatą wyskubią.

Odp. pani J. Z.

Podam w „*Bluszczu*” żądany sposób, jednak dodać tu muszę, iż wszelkie przepisy w tym względzie znajdzie pani w moim „*Poradniku porządku*,” wydanie trzecie.

Odp. pani M. K. z nad Wisły.

Odpowiedź na pytania pani jest bardzo trudna; jednak zdanie moje co do miodu jest, aby go poprawić, podać fermentacji podług sposobu podanego w moich „*Jedynych praktycznych przepisach*” wydanie 14, str. 269, biorąc połowę podanej proporcji, i nalewając go zamiast wodą owym miodem. Co zaś do soku wiśniowego, uważam za jedyne użytkowanie wypić go z wodą podczas lata, ponieważ ani nalewek ani wódki ratafii pani mieć nie chce.



Nr 26. Krzesło ozdobione haftem (do ryc. Nr 21 i 24).